Nr. 39. Poznań, Niedziela dnia 29 Września 1907. Rok XI.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 1465.**

rabatu a mianowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.)		„	15%
„ kwartalnem	13 ×	„	25%
„ półrocznem	26 ×	„	33⅓%
„ rocznem	52 ×	„	50%

Rycerska nr. 38. **B. ŚNIEGOCKI** Rycerska nr. 38.

„Drogerya Universum". **Poznań.** „Camera".

Laboratoryum chemiczno-techniczne!

Wielki wybór w najmodniejszych perfumach. Wody i farby na włosy wypróbowane. Wody do ust. Mydła. Świece. Pelsyńwańska nafta! Farby, pędzle i płótna do mal. artystycz. Gotowe farby i lakiery na podłogi bardzo trwałe. Narzędzia bartnicze. Sztuczna węza. „Molina". Jedyny najpewniejszy środek przeciw molom w paczk. po 25—50 i 1,00 mk. Prawnie zastrzeżona i jedynie prawdziwa w paczkach oryginalnych.

Pierwszy specyalny skład fotograficzny!

Wielki wybór w aparatach i przyborach fotogr. Płyty, papiery, błony i chemikalja w wielkim wyborze i zawsze świeże, bo bardzo wielki odbyt. Aparaty do projekcyi i obrazki świetlane kolor. i szare własnej fabrykacyi z gotowemi odczytami. Pracownia do wykonywania powiększeń i wszelkich prac fotograficznych po bardzo niskich cenach. Gramofony. Fonografy. Płyty. Wałki.

Wszelkie towary zawsze świeże, bo bardzo wielki odbyt.

Mydła Zwierzyńskiego

wytworu **rodzimego** 467

są najlepsze i w użyciu najtańsze!

Jedynie przy ul. Wrocławskiej 13/14. Poznań. Telefon 1761.



Jedynie przy ul. Wrocławskiej 13/14. Poznań. Telefon 1761.

Domy handlowe Spółki
Pluciński & Co.

Nowa Poznańska Spółka Stolarska

Neue Posener Tischlerei-Gesellschaft.

Pierwszorzędny Polski Magazyn Mebli

poleca

Meble od pojedyńczych do najwykwintniejszych.
Meble wyściełane, Kompletne pokoje.
Całkowite wyprawy. 313
Meble stylowo i architektonicznie wykonane.
Dywany, Obicia, Dekoracye.
Największy wybór. Ceny bez konkurencyi.
Dogodne warunki.
Uprzejma usługa bez zobowiązania do kupna, przeto warto zwiedzić.

Kawaler,
Górnoślązak, w 27 roku życia, mający dobre stanowisko w jednem z większych miast górnoślązkich, poszukuje z powodu braku znajomości pań na tej drodze

towarzyszki życia. 334

Panny we wieku od 18 do 23 lat, mające zamiar wyjść za mąż, raczą łaskawe oferty wraz z fotografią nadesłać pod lit. **T. W. 100** do Administracyi „Pracy."

Syna mego z gimnazyalnem wykształceniem oddam od zaraz najchętniej w Poznaniu do **większego**

handlu bławatnego.

Łask. zgłoszenia uprasza się do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **G 334.** 334

Gość: „Kelner! otóż już po raz czwarty staluję kufelek piwa, co to za porządek!"

Kelner: „U mnie jeszcześ pan nic nie obstalował, to pewno u tego drugiego osła."

Czesław Leitgeber

budowniczy

w Poznaniu, Plac Wilhelmowski 17.

309

Wykonuje wszelkie prace w zakres budownictwa wchodzące.

„Ważne dla zegarmistrzów!"

Z powodu śmierci mego męża są 331

wszystkie narzędzia zegarmistrzowskie
fournitury i wszelkie towary
natychmiast do sprzedania.

P. Gardo
Gniezno, ul. Warszawska 6.

Najsilniejszy.

Kilku młodych ludzi przechwalało się swoją siłą.

— Ja podnoszę 200 funtów.

— A ja wyłamuję drzwi uderzeniem pięści.

— Ależ to wszystko nic. Ja takiego znam człowieka, który jedną ręką zatrzymuje pociąg w biegu.

— A któż to taki?

— Maszynista kolejowy.

Zbyt grzeczny.

Sędzia do męża oskarżonego o poniewieranie żony:

— Czy to prawda, żeś przez 3 lata ani słówka nie przemówił do swej żony?

Oskarżony: Tak jest panie sędzio.

Sędzia: Ale dla czego to, mój panie?

Oskarżony: Po prostu, że nie chciałem jej przerywać.



CYGANIE.

Album „Pracy."

Drukiem „Pracy."

Nr. 39. **Poznań, dnia 29 Września 1907 r.** **Rok XI.**

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr 1165. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Obowiązki społeczeństwa w obec prasy.

Mówić o znaczeniu i pożytku naszej prasy w obec niespożytych jej zasług może się wydać zbytecznem, a jednakże przydałby nam się od czasu do czasu poważny rachunek sumienia: o ile społeczeństwo spełnia swój obowiązek w obec dziennikarstwa, które w obecnej walce duchowej zostało wysunięte na pierwszy plan na arenie naszej pracy społecznej.

Że prasa nasza, a szczególnie gazety ludowe stoją na wysokości swego zadania, że to zadanie pełnią uczciwie i sumiennie — na to się chyba zgodzi każdy dobrze myślący.

Gazety narodów wolnych i rozwijających się w normalnych warunkach są pokarmem umysłowym, są organami informacyi i rozrywką po pracy.

Dla nas gazety są czemś więcej jeszcze.

Nas gazeta nieustannie poucza o obowiązkach narodowych, wychowuje nas na godnych obywateli a budzi w nas i pielęgnuje poczucie narodowej odrębności, uczy nas, jak tę indywidualność naszą mamy objawiać, jak jej bronić z godnością i roztropnością. Dla nas dziennikarstwo jest szkołą obowiązków obywatelskich, każdy numer gazety jest lekcyą lub kazaniem, jest gorejącą pochodnią oświaty narodowej i niewygasającym zniczem podtrzymującym w nas godność narodową.

To też postęp nasz duchowy ostatnich lat trzydziestu dzięki nadzwyczajnej ruchliwości i energii prasy codziennej — jest wprost ogromny. Wieśniak z r. dajmy na to 1860 przepędzający dni świąteczne i zimowe wieczory na wylegiwaniu bezmyślnem lub pijackich orgiach w karczmie — a wieśniak dzisiejszy czytający gazetę, biorący udział w posiedzeniu Kółka rolniczego i sam zabierający głos na zebraniu — to ludzie zupełnie odmienni, jakoby z dwóch odrębnych światów.

Kto dokonał tej przemiany? oto gazeta ludowa. Z niej wyszła inicyatywa i zachęta — z niej rzucone ziarno padło na urodzajną i wdzięczną nad wyraz niwę, jakim jest stan włościański — i wydało plon wspaniały.

Jakże w obec tych olbrzymich wysiłków prasy zachowuje się ogół czytający? Oto jednem słowem — niewdzięcznie.

Żądamy, aby gazeta była wielostronną, aby dużo świeżych przynosiła wiadomości, żądamy, aby broń Boże! nie była ani o 20 fen. droższą od niemieckiej, bo uważamy to w naszym filisterskim sposobie myślenia za duży wydatek — a nie zdajemy sobie z tego sprawy, że gazety nasze materyalnie mniej zamożne o wiele większych potrzebują wysiłków, aby dorównać gazetom niemieckim, wyprzeć je z polskich domów i pod każdym względem je zastąpić.

Jak mało zaś ze swej strony czytająca publiczność przyczynia się do dostarczenia gazetom materyału interesującego! Nie braknie u nas ludzi bardzo inteligentnych, z wyższem wykształceniem i uzdolnieniem literackiem, którzyby mogli zasilać gazety zajmującemi korespondencyami, a jednak — rzecz dziwna! najpilniejszymi korespondentami gazet są przeważnie osoby mniej wykształcone. Są i tacy, którzy gazetę uważają za arenę plotek i skandalików prywatnych o ile brudnych, o tyle mało ogół interesujących — i obdarzają redaktorów produktami swej złośliwości i ciasnoty umysłowej. Gazeta jako własność publiczna powinnaby do tego stopnia obchodzić inteligentniejszych czytelników, że koniecznie powinniby się poczuwać do zasilania jej użytecznemi pracami. Tymczasem zdajemy redaktorom cały ciężar nieustającego wysiłku pomysłowości i wielostronnej pracy, sami zaś ograniczamy się na krytyce niezawsze sprawiedliwej, często surowej.

Tak, liczne i różnorodne są grzechy społeczeństwa naszego względem prasy, duchowej jego karmicielki i mistrzyni.

Że pomimo tylu trudności zewnętrznych i niewdzięczności w łonie społeczeństwa znajdzie się zastęp nieustraszonych i nieugiętych pracowników, którzy wstępując na tę drogę niosą w ofierze nietylko pracę swoją i najlepszą część swego ducha, ale i wolność osobistą, zdrowie i mienie — dowód w tem oczywisty, jak daleko już postąpiliśmy w kulturze duchowej.

Że prasa nasza jak okręt płynie naprzód na wzdętych falach wrogiej nam polityki, że zachowuje od zagłady naszą narodową spuściznę, nasze tradycye przeszłości i dobytek duchowy obecnej chwili — cześć jej za to!

Gdy teraźniejszość nasza pełna męczeńskich ofiar znanych i nieznanych stanie się przeszłością, i zapisaną zostanie w historyi, wtedy zasługi naszej prasy niewątpliwie stanowić będą w tej księdze najpiękniejszą kartę.

M. G.

Szkoła polska.

Mówić w naszych warunkach o „szkole polskiej“ wydawać się może rodzajem utopii, gonitwą za niedoścignionem marzeniem.

Gdybyśmy sądzili, że stworzenie w naszych warunkach „szkoły polskiej“ jest utopią lub niedoścignionem marzeniem, nie tracilibyśmy ani na poruszanie tej kwestyi, ani na roz-
[illegible]

skrawka papieru, ani kropli inkaustu. W naszych bowiem warunkach uważamy gonitwę za rzeczami nieosiągalnemi i to nieosiągalnemi czy to skutkiem naszej nieudolności, czy skutkiem skrępowania nas prawami państwowo-pruskiemi — za rzecz najszkodliwszą, bo rozpraszającą myśli i dążenia nasze, którym potrzeba zespolenia, skupienia i skierowania ku jednemu celowi: utrzymania i rozwoju polskości!

A przecież po uchwaleniu „noweli osadniczej" z r. 1904 także zdawało się utopią, żeby ktośkolwiek na parceli swojej mógł znaleść sposób zamieszkania stale. Zjawił się Drzymała — i utopia przestała być utopią!

Nie tak wprawdzie ma się sprawa ze „szkołą polską". Ale przykład Drzymały wskazuje, że rzeczy, które nam się zdawają dziś utopiami — jutro nabierają formy żywej, stają się rzeczywistemi. Drzymała znalazł sposób prosty na zbicie argumentów używanych na obronę utopii, jakoby po „noweli osadniczej" nie było sposobu na zdobycie stałego mieszkania.

Sprawa „szkoły polskiej nie jest tak prostą. Nie da jej się załatwić kupieniem woza szkolnego, pozyskaniem nauczyciela wędrownego, któryby z tą ruchomą szkołą po dzielnicy polskiej jeździł i nauczał. Ale sposób rozwiązanie tej kwestyi jest. Rzeczą naszą go znaleźć i postarać się o aprobatę społeczeństwa.

Otóż nasampierw stwierdzimy fakt, że „szkoła polska" u nas istnieje już. Zastrzegamy się tylko co do tego, że społeczeństwo nasze nie patrzy na nią jako na — szkołę.

Co to jest szkoła?

Mówiąc o *szkole,* mamy na myśli budynek szkolny z pewną liczbą ław rzędem ustawionych, z katedrą nauczycielską, z nauczycielem, tablicą i różnemi innemi przyborami jako środkami do nauki.

Pojmujemy jednem słowem *szkołę* jako *instytucyę,* i to instytucyę nakazaną przez państwo, utrzymywaną w części przez toż państwo, w części przez gminy.

Otóż co do nas, to pojęcie szkoły musimy zmienić. Musimy nie pojmować jej jako instytucyę, budynek z nauczycielem, z kijem, tablicą, ławkami i t. d. — lecz *jako środek i sposób do szerzenia oświaty.* Nie mamy tutaj, by zapobiedz z góry możliwym nieporozumieniom, na myśli elementarza i książek do nauki. To są — przybory do nauki. Tak jak rolnik, by zorać ziemię, potrzebuje pługa, tak człowiek chcący się czegoś nauczyć, potrzebuje książki.

Potrzeba mu jednakże do tego sposobności, okazyi, zachęty i podniety. I do oświaty trzeba ludzi zachęcać. Gdzie znajdzie u nas człowiek tę zachętę?

Znajdzie ją *w prasie i w towarzystwach!*

Że prasa jest czynnikiem oświatowym, że jest środkiem i sposobem do szerzenia oświaty, to tak powszechnie jest znane, że tłómaczyć tego nie potrzeba. Jest atoli inne pytanie, czy prasa nasza to swoje zadanie oświatowe spełnia należycie, i czy jest ona „szkołą polską", mogącą nietylko uzupełnić ale wręcz zastąpić szkołę pruską, z której jak wiadomo dzieci polskie nie wynoszą nawet — elementów oświaty. Należałoby pytanie to zbadać wszechstronnie. Sądzę, że prasa polska byłaby za bezstronne, życzliwe osądzenie swej działalności w tym kierunku wdzięczną.

Pozostaje mi mówić o towarzystwach. Mamy ich setki tu w kraju i hen na obczyźnie. Można towarzy-

---

* *
*

Widzieliście kiedy ptaki lecące długim szpalerem? Prowadziły je ptaki-przewodnicy, stojący u początku, na czele, na posterunku. Czujne, baczne, sterujące.

W życiu narodu rolę ptaków-przewodników tworzy prasa, publicystyka. Zwłaszcza w naszem społeczeństwie, w naszym narodzie, pozbawionym często mównicy i ognisk, z których promieniuje polskość — prasa wzrasta do olbrzymiego zadania.

Stoi na straży praw narodowych;

czuwa, żali wróg chyłkiem pod nasz obóz się nie zakrada;

walczy w każdym momencie, a gdy nastawa walka rozstrzygająca, prasa znajduje się zawsze w pierwszym szeregu walczących;

steruje nawą narodową;

wychowywa społeczeństwo w duchu narodowym i sieje mu w duszę myśl polską i polskie słowo;

uczy tych, którzy ni w domu ni w szkole nie nauczyli się kochać Ojczyzny, o prawach i obowiązkich, jakie my wobec Polski mamy.

— — — — — — — — — —

Potęga prasy jest tak doniosła, tak olbrzymia, że z nią porównać nie można nic. Napoleon nazywał prasę szóstem mocarstwem świata. I słusznie. Jedno słowo wydrukowane idzie w tysiącach egzemplarzy do milionów rąk i umysłów. Zajmuje, podnieca, zapala. Mała iskra płomień niekiedy wznieca. Jeden artykuł obudza ducha tysięcy, podnosi lub gubi sprawę.

A we wszystko trza włożyć serce, krew.

Kochać zawsze, a nienawidzić nigdy. Nienawidzić nigdy, nawet gdy coś niby złe. Gdy tępić, smagać, walczyć we własnych gronach, to targać za trzew w bólu, w krwi; to słabość, nędza, grzech nasz własny nas boli, serce nam żre.

Wielkie idee, wielkie ideały, ogrom olśniewający wszystkich, potężne myśli, naród w moc zapładniające — rzucić może jedynie duch kochający serdecznie i bezwzględnie sprawie oddany.

— — — — — — — — — —

O ile doceniają potęgę i znaczenie prasy polskiej wrogowie, o tyle zapoznają je zupełnie swoi. A niedoceniając znaczenia i owoców pracy, w pracownikach samych widzą tych helotów i parjasów losu, co oddani cichej, bezgłośnej pracy kuć muszą fundamenty w głębi i u podstaw.

Społeczeństwo publicystów i dziennikarzy nie uznaje. Nie uznaje tych, co nie oglądając się w niczem na dobro własne, kierują się jedynie i wyłącznie dobrem ogółu, dobrem powszechnem. Nie uznaje tych, co za śmielszą myśl, gorętsze zdanie, wypowiedzenie tego, co w duszy żyje, idą do więzień, zostawiając rodzinę, dziatwę, najbliższych.

— — — — — — — — — —

Czy praca dziennikarska jest niewdzięczna?

Dzisiaj na fali, a jutro w toni; w ciągłej walce, w ciągłym boju. Opanowywa, ogarnia, ujmuje.

Nic to, że zapoznają; nic to, że nieraz zmilknąć trzeba i mówić nie wolno; nic to, że wdzięczności nie będzie. Tej się nie szuka. Owszem: niewdzięczna praca narodowa tem więcej opanowywa i ujmuje; zresztą wdzięczności w tych razach się nie szuka i szukać nie wolno, gdzie obowiązek woła i konieczność.

Praca nasza jest nieskończenie wdzięczna.

Jakże raduje się dusza ogromnie, kiedy ujrzy, że pełni się myśl autora, gdzieś ulotnie rzuconą, lub iści się sen i pragnienie i praca całego żywota!

Wówczas ma się pełnię radości i zadowolenia.

A one starczą na lata uciążliwej pracy i walki.

Lwów, 23. IX. 1907.

H. Wierzba.

stwa te podzielić na pewne kategorye, odpowiednio do składu ich członków i rodzaju zadania, jakie spełnić zamierzają. Mamy więc towarzystwa ściśle *zawodowe* i *ogólne*. *Zawodowemi* nazywam towarzystwa takie, które w przeważnej części składają się albo z ludzi jednego zawodu, t. j. ludzi w jeden i ten sam sposób zarabiających na chleb, albo z ludzi zawodów pokrewnych. N. p. do tej kategoryi należą: towarzystwa lekarskie, związki zawodowe robotnicze, towarzystwa przemysłowe, i kupieckie, towarzystwa literatów i dziennikarzy. To są towarzystwa, organizacye ściśle *zawodowe*.

Towarzystwami *ogólnemi* nazywam te, do których należą ludzie z różnych, niepokrewnych zawodów.

Pierwsze mają ściśle określony cel: popieranie interesów swojego zawodu, co im tem bardziej nadaje cechę i charakter zawodowy — drugie mają na celu: popieranie dążności ogólnych, t. j. takich, które ma albo mieć powinien cały ogół danego społeczeństwa. Do tej drugiej kategoryi należą: towarzystwa n. p. abstynenckie n. p. u nas „Wyzwolenie“ i „Związek księży abstynentów,“ towarzystwa ogólno oświatowe n. p. „Czytelnie Ludowe“, towarzystwa gimnastyczne n. p. „Sokół,“ dalej towarzystwa śpiewackie, Samopomocy, „Czytelnie dla kobiet,“ „Warta,“ „Promień,“ „Straż“ i t. p.

Każde z tych poszczególnych towarzystw ma na pozór jakiś różny cel, różne dążenia. I tak też jest w społeczeństwach innych, że każde poszczególne towarzystwo do własnego, statutami jako za najważniejszy i najprzedniejszy określonego celu, albo wyłącznie, albo prawie wyłącznie zmierza.

U nas wszystkie te rodzaje towarzystw mają oprócz tego jeszcze jedno zadanie, t. j.: *oświatę!*

Czy w związku robotniczym, czy w „Sokole,“ czy w towarzystwie przemysłowem, czy w śpiewackiem, czy w kupieckiem — wszędzie mówi się o potrzebie krzewienia oświaty i oświatę tę się krzewi według sił i możności.

Na podstawie więc tego faktu, że wszystkie nasze towarzystwa bez względu na ich różne zresztą dążności — ten cel oświatowy po za tem mają wspólny, że przez to są istotnie „środkami i sposobami do szerzenia oświaty,“ na podstawie tego faktu biorę asumpt do nazywania ich — „szkołą polską.“

Ta „szkoła polska“ różnych towarzystw naszych spełnia zadanie swoje w różny sposób i z różnym skutkiem, zależnie od zdolności i dobrej woli i chęci swoich prezesów, zarządów i zależnie od tego, jaki udział w tej pracy bierze t. zw. inteligencya.

Jeżeli towarzystwa nasze nie spełniają tego oświatowego swego zadania tak jakby w interesie społeczeństwa tego życzyć sobie należało, to wina tego nie spada jednakże na ich barki wyłącznie. Wina ta spada szczególnie na te czynniki, które roszczą sobie w społeczeństwie naszem pretensyę do roli kierowniczej, a więc na: prasę, na szlachtę, na inteligencyę świecką i duchowną.

Wina ta polega na tem szczególnie, że czynniki te nie uświadomiły sobie 1) potrzeb społeczeństwa dostatecznie, 2) nie starały się wyszukać środków i sposobów zaspokojenia tych potrzeb.

W prasie nie wystarcza nawoływać: uczmy dzieci czytać i pisać po polsku — i czytajcie gazetę, bo oświata się nie kończy na umiejętności czytania i pisania i nie kończy się na czytaniu gazety.

Nie wystarczy też, gdy ktoś z inteligencyi — szlachta do tego wcale się nie kwapi — wygłosi odczyt w towarzystwie. Odczyt może być bardzo ładny i piękny, może zrobić wrażenie — ale nie spełni swojego zadania, jeżeli żadnego ze słuchaczy nie pobudzi albo do doraźnego stawiania pytań prelegentowi, albo nie zachęci nikogo

---

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

63) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Zamiast tego rozpaczliwego głosu czy nie lepiej byłoby jeszcze, póki czas, powołać szybko pospolite ruszenie całego narodu, ogłosić zniesienie poddaństwa i pańszczyzny, włościanom przyznać własność posiadania ziemi, potworzyć oddziały partyzanckie i wysłać je za Niemen i Bug? Ale nie było mowy o tem, o takiej potężnej armii całego narodu, broniącego w każdem miejscu swych siedzib i majątków, armii, wobec której przybywający zdala a na każdym kroku tropiony najezdca, ani kusić by się nie ważył nie tylko o zabranie kraju naszego, ale nawet o pokazanie się w nim!

Na tej radzie wojennej odzywały się też inne stanowcze głosy:

— W okopach Warszawy czekajmy na nieprzyjaciela z 40,000 wojskiem! Resztę oddziałów wyszlijmy na prawy brzeg Wisły, aby wyprzeć Moskali z województw: Płockiego, Podlaskiego i Lubelskiego i zaopatrywać stamtąd w żywność Warszawę!

Taki plan Prądzyńskiego, poparty silnie przez Umińskiego i Bema, przyjął Krukowiecki, stolica bowiem miała żywności i furażu już tylko na dni kilkanaście. Więc gen. Łubieński z 4000 oddziałem wyruszył w Płockie, a gen. Ramorino [1]) ze znaczną siłą, bo wynoszącą 20,000 ludzi i 40 dział, podążył na wschód, a miał też polecenie wyprzeć za Bug Rosena, który od tej strony zagrażał Warszawie. Z Ramorinem, któremu dodano szefa sztabu Wład. hr. Zamoyskiego, poszli jako ochotnicy, były prezes Rządu Narodowego., ks. Czartoryski, Gustaw Małachowski, Wężyk, a także gen. Prądzyński, który chciał dopilnować podanego przez siebie planu. Ale 20,000 armia, opuszczając Warszawę, musiała osłabić obronę stolicy w chwili najważniejszej, i przez sprzeczki obu wodzów chybiony został skutek tej wyprawy. Bo wprawdzie Rosen z przeważającemi siłami dopadnięty w okolicy Łukowa poniósł częściowe klęski pod *Krynkami* i pod *Międzyrzeczem* [2]); lecz Ramorino opóźnił się i nie przeciął Rosenowi drogi odwrotnej do Brześcia, wskutek czego tenże wymknął się i ocalił swoje wojsko. A do tego jeszcze Rosen tak daleko za sobą odciągnął Ramorina, że tenże nie mógł teraz szybko zdążyć na obronę wielce zagrożonej Warszawy, pod którą stanął już Paskiewicz i gotował się do zdobycia jej szturmem.

7. *Los Warszawy.*

Strzegły Warszawy dwie linie obronne szańców i redut [3]), które przez cały ciąg powstania sypała ludność i jeńcy wojenni. Za okopy cofnęło się teraz wojsko polskie. Pod naczelnymi rozkazami Krukowieckiego i Małachowskiego obronę okopów objęli generałowie Umiński, Dębiński, Czyżewski i generał artyleryi Bem. Paskiewicz przed przypuszczeniem szturmu postanawiał jeszcze:

[1]) *Hier. Romarino*, generał włoski, później w służbie francuskiej; w r. 1830 wstąpił do polskiego wojska.

[2]) Łuków, Krynki, Międzyrzecz, w południowo wschodniej stronie od Warszawy.

[3] Reduta, z franc., szaniec polny, mniejsza wśród większej twierdzy fortyfikacya, otoczona wałem i rowami.

do zapoznania się z tematem odczytu — z książki. Niestety prelegenci u nas często wręcz liczą na nieznajomość tematu odczytu wśród słuchaczy swoich, że zbywają ich byle czem. To naturalnie do oświaty nikogo nie zachęca.

I jakież to często są tematy tych odczytów?! Potrzeba tylko przejrzeć sprawozdania roczne naszych towarzystw. Często człowiek wręcz zdumiewa się nad tem, jak daleko tematy te odbiegają czy to od poziomu wykształcenia członków danego towarzystwa, czy wreszcie od ich pragnień i dążności.

Wynika stąd, że *nie ma planu* w akcyi oświatowej naszych towarzystw. Dla braku tego planu towarzystwa te pomimo najlepszych często chęci wręcz nie mogą spełnić swego zadania „szkoły polskiej" należycie.

Stworzenie takiego planu w zarysach nie tylko ogólnych ale wypracowanie go z możliwie najściślejszymi szczegółami — tak przynajmniej sądzę — popchnęłoby dążenia oświatowe towarzystw o jeden krok bliżej do ziszczenia ich zadania jako „szkoły polskiej."

Do kogo może i powinno należeć nakreślenie takiego planu?

Nie ulega wątpliwości, że zadanie to ciąży na tych czynnikach, które chcą być kierowniczymi, i które przez społeczeństwo do pewnego stopnia uznane są jako kierownicze, mianowicie: *prasa i inteligencya!*

Zadanie to wielkie i zaszczytne. Wskazuję na nie tutaj, bo znam koła, które o tem myślą, a chcę im przez podanie moich uwag dać zachętę i wytknąć kierunek, do jakiego zmierzać powinny.

Przy sposobności do sprawy tej jeszcze powrócę.

Idzi Switała.

Przeciw Polakom.

Jesteśmy obecnie świadkami ohydnego zjawiska. Publicznie w biały dzień, propaguje się wśród całego narodu zbrodnię i jako patryotyczny czyn się ją stawia, jadowita zaś ta zasada do tego stopnia wsiąkła już tu i owdzie w karmione nią społeczeństwo, że wśród tysięcy zebranych na jednem miejscu ludzi, ani jedno nie znajdzie się sumienie, któreby jej nie uległo.

Wierne narzędzie pruskiego rządu, hakata, pracuje całą siłą nad wyrwaniem z duszy niemieckiego narodu ostatków uczciwości. Zadaniem jest jej, za wszelką cenę przekonać Niemców, że wywłaszczenie polskiej ziemi, na jakie rząd uzyskać chce koncesyę od sejmu, nie będzie żadnem bezprawiem, ale czynem wysoce patryotyczym, a nieodbicie koniecznym. Więc prasa huczy nieustannie najpotworniejszemi oskarżeniami przeciw Polakom, na niemieckich zgromadzeniach apostołowie hakatystycznej zbrodni, żywem słowem, z cynizmem przechodzącym zwykle granice prusackiej bezczelności, a zupełnie bez obsłonek przyznają, że jakkolwiek to, co się robi, jest dla Polaków krzywdą, to jednak krzywda ta wyjdzie na niemiecką korzyść, a więc jest czemś dobrem i pochwały godnem. I doszło już z biegiem czasu do tego, że wywody takie tłum niemiecki oklaskuje.

Niedawno temu odbył się w Wiesbadenie siódmy zjazd „Wszechniemieckiego związku," na którym referat główny w polskiej sprawie wygłosił profesor Hötzsch z Poznania.

Nakreśliwszy historyę hakatyzmu w Poznańskiem, stwierdził on, że celem jego jest zmiana tamtejszego stanowiska liczbowego ludności na korzyść Niemców. Dzieje się to w pierwszym rzędzie za pomocą komisyi kolonizacyjnej, dla której dalsza akcya stała się jednak w ostatnich czasach niemożliwą. Po pierwsze brakło jej pieniędzy, po drugie Polacy nie chcą już sprzedawać jej swej ziemi. Nadeszła więc

---

— Muszę spróbować, czy mi się nie uda zbałamucić tych walecznych Polaków, zachwiać ich czujność i sprężystość, osłabić ich zapał i opór!

I zwrócił się do Rządu polskiego z bardzo ponętnemi rokowaniami:

— Jeżeli poddacie się dobrowolnie, wspaniałomyślny a tak życzliwy wam imperator, poczyni wam bardzo wielkie ustępstwa! [1])

Wtedy zebrała się rada rządowa, a na niej przedstawiał Prądzyński:

— Panowie, Warszawa się już długo trzymać nie zdoła!

Ale stronnictwo Kaliszanów stawiało niemożliwe w tej chwili żądania, ażeby Polska została przywrócona w dawnych jej granicach i rada odrzuciła wszelkie warunki Paskiewicza, poczem przystąpił on zaraz do szturmu Warszawy.

— Zaczynamy od Woli, tego klucza Warszawy! — rzekł do generałów. I w stronę tej najważniejszej pozycyi obronnej Warszawy zwrócił swe siły (6 września).

Zagrzmiało 200 dział, sypiąc 20 funtowe kule i rozegrało się piekielną muzyką, trwającą przez dwie godziny, w czasie których szare olbrzymie kolumny moskiewskie posuwały się miarowo na szańce i redutę wolską. I wnet zaczęła się mordercza walka, a gdy Krukowiecki zajęty ciągle układami, załogom wolskim nie przysyłał na czas pomocy, w dwugodzinnej zaciętej walce legły one prawie wszystkie. A padły bohaterską śmiercią tylko pod ogromną przewagą sił rosyjskich, nie ustępowały bowiem ani kroku, chociaż szaniec leżał już w ruinach. Legł też wtedy z bagnetem w ręku mężny obrońca reduty wolskiej sędziwy generał Sowiński.

— Naprzód, odbierzemy stracone pozycye! — wołali teraz z zapałem, ale po niewczasie Małachowski i Bem i pchali do boju swoich żołnierzy. Lecz daremna była to już praca: cały dzień upłynął na srogim boju, legło 4000 ludzi i Wola, ten klucz Warszawy, a wraz z nią pierwsza linia obronna stracona już została. Po takiej klęsce narzekali wodzowie polscy:

— Nie utrzymamy już miasta, jeśli Ramorino spiesznie nie powróci!

A Ramorino był zbyt oddalony, późno o prawdziwym stanie Warszawy się dowiedział i jak gdyby umyślnie nie powracał.

Pomieszanie i stracenie głowy przez członków rady wojennej było już przedtem wielkie, tak że nawet pierwszą linię ochronną chcieli opuścić bez obrony i bez boju. Przełamanie zaś drugiej linii według samychże dowodzących generałów było bardzo trudne i mogło przeciągnąć na czas długi obronę Warszawy. Ale Krukowiecki, Prądzyński i wielce niepopularny gubernator Warszawy, Chrzanowski, widzieli wszystko w bardzo czarnych kolorach i pchali sejm do prowadzenia układów. Nie tajnym był Paskiewiczowi

[1]) Jakże złudnemi były uprzejme i delikatne słowa Dannenberga, pełnomocnika Paskiewicza:

— Zyskacie warunki, jakich sami zażądacie. Narodowość, konstytucya do waszej woli; sami będziecie sobie prawa ustanawiać i urzędników obierać. Wasz król (Mikołaj) przystanie na wszystko, pod warunkiem pozostania pod jednem berłem z Rosyą!

Przytem Dannenberg prosił serdecznie Prądzyńskiego, który prowadził rokowania, aby się z nim złączył i dopomógł mu do doprowadzenia do skutku porozumienia. Memoryał Dannenberga u Sokołowskiego, IV 1646.

chwila, w której formalność prawa musi ustąpić przed interesem państwa. Państwu należy dać prawo wywłaszczenia Polaków i to za odszkodowaniem odpowiadającem nie cenom ziemi, ale wartości przynoszonego przez nią dochodu, który rząd sam obliczy. Rezultatem tego będzie, że wyśrubowane dziś wysoko ceny ziemi, spadną bardzo znacznie! Sejm musi uchwalić taką ustawę, obowiązującą we wszystkich zamieszkałych przez Polaków prowincyach.

Międzynarodowe stanowisko Polski, scharakteryzował prof. Hötzsch jak następuje:

Polacy w Rosyi znajdują się w okresie rozwoju. Stanowisko ich w państwie rosyjskiem jest coraz bardziej wpływowem, do tego stopnia, że wyraźnie już dziś widoczny program ogólno polskiego ruchu, dąży do złączenia wszystkich części Polski pod władzą Rosyi (!...)

Zgnieść więc trzeba Polaków koniecznie. Potrzeba w tym celu — mówił referent — stworzyć „ministeryum marchii wschodniej.“ Dzięki niemu będzie można działać pewniej i szybciej, niż to robił dotychczas rząd centralny. Szczególny nacisk na to położyć należy, że dzisiaj niewiele już nam pozostaje czasu do rozwiązania kwestyi polskiej po naszej myśli. Jeśli dotychczasowego systemu nie rozwiniemy za lat 10 lub 20, gra będzie dla Niemców straconą. W chwili obecnej najważniejszym postulatem jest ustawa o wywłaszczeniu. Jest ona konieczną, a im dłużej zwlekać z nią będziemy, tem trudniejszą będzie do przeprowadzenia.

W dyskusyi, jaka się następnie nad referatem poznańskiego hakatysty rozwinęła, wszyscy mówcy oświadczyli się gorąco za stworzeniem ustawy wywłaszczającej, a tylko jeden dr. Ficks z Frankfurtu wyraził obawę, że Polacy, skoro się im ziemię zabierze, staną się śmiertelnymi wrogami Niemców, tak, że łatwo dojść może do zamieszek w kraju. Tego natomiast, że zabranie ziemi Polakom byłoby nieuczciwością i zupełnem bezprawiem nikt powiedzieć nie miał odwagi.

Nic tedy dziwnego, że wśród takiej atmosfery zgromadzenia, przyjęto wszystkiemi głosami przeciw jednemu rezolucyę, wzywającą rząd do najenergiczniejszego wobec Polaków postępowania. W dalszym ciągu wyraża rezolucya przekonanie, że ustawa wywłaszczająca Polaków z ich ziemi jest koniecznością i ubolewa, że rząd nie wystąpił jeszcze dotychczas z jej projektem. Niebezpieczeństwo, grożące Niemcom ze strony Polaków, zażegnane być może tylko zapomocą ich wywłaszczenia, wzywa więc rezolucya raz jeszcze rząd, by porzucił wahanie i nie dopuścił do zrządzenia Niemczyźnie szkody, której nigdy już potem naprawić się nie da.

Wiec wszechniemców w Wiesbadenie jest typowym aktem hakatystycznej opinii w sprawie polskiej. Takich głosów, jak w Wiesbadenie w żywem słowie, od pół roku pełno jest w prasie niemieckiej, która oswaja opinię niemiecką z aktem bezprawia, jaki w sejmie pruskim na społeczeństwie polskiem ma być dokonany!...

Czy stanie się zadość tej zajadłości hakatyzmu!?

Skandaliczna gospodarka niemiecka.

Cieszyn (Śląsk austryacki)
we wrześniu 1907.

Znane jest powszechnie urąganie Niemców na „gospodarkę polską“ w Galicyi. Chodzi Niemcom o to, ażeby uczciwe imię polskie obrzucić błotem kalumnii, ażeby wykazać niezdolność Polaków do samodzielnego rządzenia, a przez to wykazać, jakie to „dobrodziejstwo“ oni zrobili Polakom, po-

---

ten stan umysłów, to stracenie głowy w rządzie polskim, występował też zaraz zuchwalej i zaraz posłał do Warszawy wezwanie:

— Poddajcie się, albo w gruzy zamienimy tę sławną waszą stolicę!

I tej samej nocy rozpoczął Krukowiecki układy, do czego i sejm dał już upoważnienie, zastrzegając sobie tylko zatwierdzenie warunków. Te układy prowadził generał Prądzyński. Ale Paskiewicz, upojony już zwycięstwem, stawiał teraz inne żądania, wstrzymywał się z rokowaniami i w czasie tychże zaraz na drugi dzień kazał uderzyć na drugą linię obronną (7 września).

I znów zawrzała zacięta walka o szaniec koło Czystego, u Jerozolimskich rogatek, na ewangielickim cmentarzu i w ogrodach na przedmieściu wolskiem. Po trzech szturmach zdobyli Rosyanie szaniec Czystego, gdy Krukowiecki, w czasie jeszcze nierozstrzygniętej walki, widząc, że nie utrzyma Warszawy, wysłał znów do Paskiewicza Prądzyńskiego, ten zaś, przyciśnięty przez w. ks. Michała — gdy Paskiewicz ani mówić z nim nie chciał, a tylko groził szturmem — napisał deklaracyę, że *Krukowiecki wraz z całym narodem polskim chce poddać się carowi Mikołajowi.* Na wiadomość o tem sejm złożył Krukowieckiego z godności prezesa, a mianował nim *Bonawenturę Niemojowskiego.*

Straszny to był wieczór, oświecony ponurą łuną pożarów Czystego i domów przedmiejskich. Przybliżał się grzmot dział, bomby pękały już przed gmachem bankowym, ulice pełne były dymu i wstrząsający niepokój ogarniał ludność.

W tem powraca z obozu rosyjskiego Prądzyński, prowadząc ze sobą generała rosyjskiego Berga, który miał zawrzeć ostateczną ugodę na podstawie poddania się Krukowieckiego. Ale sejm i tę ugodę odrzucił, a wydał rozporządzenie Małachowswkiemu, ażeby z Bergiem zawarł umowę wojskową, uniemożliwiającą wyjście z Warszawy wojska polskiego.

Tak więc w nocy dnia 7 września 1831 r. przyszła do skutku *kapitulacya* [1]), *mocą której rząd polski zobowiązał się wydać Rosyanom bezzwłocznie Warszawę razem z Pragą i mostem pragskim, a otrzymał zapewnienie bezpieczeństwa osób i mienia oraz 48 godzin czasu do wyjazdu, do ustąpienia wojska i wywiezienia zapasów wojennych.*

Z jakimże smutkiem patrzyli mieszkańcy Warszawy, jak rano dnia 8 września wchodziły znów do miasta tryumfalnie oddziały rosyjskie, a jak polskie wojsko, po tylu walkach, tryumfach, nadziejach, wysiłkach, ze stolicy ustępować musiało! Z wojskiem usunął się rząd i sejm, a także wiele mieszkańców i udali się do Modlina, a stąd do Zakroczymia. Nie opuszczał Warszawy Krukowiecki, bo wzburzeni przeciwko niemu żołnierze polscy chcieli go rozstrzelać, a opinia całego narodu przytłaczała go strasznem mianem:

— To zdrajca ojczyzny!

Taki był los bitwy pod Warszawą, która składała się z świetnych potyczek, lecz prowadzona bez planu i w zamieszaniu, w obec przeważającej liczby Rosyan (67,000, Polaków 22,000) musiała zakończyć się klęską.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) *Kapitulacya*, z łać., układ między oblężonymi a nieprzyjacielem o oddanie twierdzy miasta lub obozu.

zławiając ich rządów, kłopotów — no i swobody.

Prasa polska już nie raz faktami wykazywała kalumniatorom, żeby śmiecie wymiatali najpierw przed własnemi drzwiami. Kalumnie jednakże nie ustają. To też nie zawadzi, odsłonić przed światem fakt, którego inaczej nazwać nie podobna jak — skandalem.

Fakt ten ma miejsce u nas w Cieszynie. Chodzi tu o gospodarkę miejską. A trzeba wiedzieć, że gospodarzami miasta, t. j. zawiadowcami i szafarzami majątku miejskiego — są Niemcy. Pomimo bowiem istotnej polskiej większości, w radzie miasta Cieszyna nie zasiada ani jeden Polak. Na czele miasta stoi burmistrz —p. dr. Demel, znany wróg Polaków, o niego tu chodzi.

Cieszyn nasz liczy około 20000 ludności. Rada zaciąga na upiększenie miasta nieustannie nowe długi. Dochodzą one dziś do 6 milionów koron. Czy to potrzebne, czy nie potrzebne, o to mniejsza. Ale chodzi tutaj o rzecz inną.

Niedawno temu zaczęły po Cieszynie krążyć z początku ciche, potem coraz głośniejsze pogłoski o bankructwie p. Demla, o rozmaitych mniej czystych i jasnych finansowych zawikłaniach. — Co robi rada miejska? Jakby po jakiejś katastrofie pożarowej, lub powodziowej, gdzie tysiące ludzi traci mienie i chleb, tworzy się „komitet ratunkowy“ mający na celu ratowanie Dr. Demla, czyli innemi słowy, obowiązany wymyślić środki na wyszukanie pieniędzy, którymi by zapłacono olbrzymie długi swego burmistrza, gdyż inaczej będzie skandal.

Sprawa poszła łatwo, — łatwiej niż można było się spodziewać, a co więcej bez żadnych wydatków ze strony radnych miasta.

Nadchorzi *60 letnia rocznica panowania cesarza Franciszka Józefa I.* Wierne i patryotyczne miasto postanawia uczcić jubileusz monarchy dziełem, któreby świadczyło o przywiązaniu miasta do tronu. Rada miasta postanawia wybudować ku uczczeniu jubileuszu dom poprawny w Cieszynie. Rozpisano submisye na grunt. Ofert nadchodzi dużo. Mimo atoli niższych ofert, przyjmuje rada bez dyskusyi najwyższą ofertę — p. Demla, i kupuje *za 240 tys. koron* jego realność, za którą sam parę dni przedtem żądał — *68 tys. koron,* — a która warta 40 do 50 tysięcy.

W ten sposóg rada miasta ratuje bankrutującego i źle własnym majątkiem kierującego burmistrza, wyrzuca 200 tys. koron z kasy dobra publicznego na długi jego prywatne, a w tenże sposób 40 tysiącami upamiętnia 60 letnie rządy sędziwego monarchy.

Jeśliby się wobec tego faktycznie chciało zcharakteryzować rządy niemieckie w Cieszynie, to trudno doprawdy byłoby powstrzymać się od najostrzejszych słów potępienia i najjaskrawszych wyrazów pogardy. Jakie zwyrodnienie i deprawacya u tych ludzi być musi, by człowieka nie umiejącego władać własnem mieniem sadzać na fotelu prezydyalnym miasta, *ofiarować* mu mandat poselski, z prośbą, by zechciał go przyjąć, wreszcie, kiedy krach nadchodzi, wprost kolosalną sumę — w stosunku do dochodów miasta z lekkiem sercem brać z kasy miejskiej i płacić długi bankruta, dlatego, że on jest burmistrzem i posłem, — w końcu najwstrętniejszem w tej całej aferze jest to, że ku temu użyto świętych dla każdej narodowości ideałów patryotycznych. Nadchodzący jubileusz cesarski wyzyskano dla celów korupcyjnych Demla, i jego kapitalistycznej kliki. Patryoci niemieccy na cele uczczenia *sędziwego monarchy* z okazyi jego 60-letnich wielkich rządów rzucili *40 tys. koron,* zaś *dla bankruta,* człowieka nie szanującego mienia zebranego przez przodków, karyerowicza, a w dodatku o niezbyt jasnej przeszłości, przeznaczają *200 tys. koron,* jako widoczny zasiłek i zapomogę na jego ogromne długi. Sprawa nie załatwiona zresztą. Czy skończy się dobrze dla burmistrza miasta Cieszyna czy źle, to dla nas wreszcie obojętne. — Może i przy tej okazyi jeszcze niejeden ciemny punkt się rozjaśni, może gospodarka niemiecka jeszcze w ciemniejszych barwach się ukaże — Na razie stoimy wobec faktu „Deutsche Wirtschaft“ święci tryumfy, których my nie mamy potrzeby — Niemcom zazdrościć!

B—z.

Przegląd prasy.

„Kuryer Poznański,“ „Dziennik Pozn.“ i *„Lech“* doniosły równocześnie o następującem zdarzeniu:

„W Pyszczynie, w powiecie gnieźnieńskim do szkoły tamtejszej uczęszczali Wiktorya *Staniszewska,* córka robotnika, oraz chłopiec *Tryński.* Imienia chłopca, ani zawodu jego ojca nie wymieniono.

Tak Staniszewska jak Tryński, powinni być teraz zwolnieni z dalszego uczęszczania do szkoły.

Ponieważ jednak nie chcieli się wyróżniać od innych dzieci i w swoim czasie trwali również w oporze, pragnąc uczyć się religii w języku ojczystym — przeto ze szkoły ich nie zwolniono.

Powinni byli istotnie być zwolnieni już na Wielkanoc, gdyż wówczas skończyli lat 14, ale wszelkie starania pozostały bez skutku.

Staniszewska i Tryński tak wzięli to sobie do serca, że postanowili raczej umrzeć, aniżeli uczęszczać nadal do szkoły. Postanowienie swoje zamienili w czyn w ten sposób, że *dziewczyna powiesiła się, a chłopiec rzucił się pod nadchodzący pociąg,* ale na szczęście zdołano go jeszcze ocalić.“

„Dz. Pozn.“ podał wiadomość tę pod nagłówkiem „straszna tragedya,“ „Kuryer Pozn.“ pod nagłówkiem „samobójstwo dziecka, a pruski system szkolny.“ „Lech“ przypuszcza, że dziewczę popełniło samobójstwo „w obłędzie umysłowym.“ Uwaga ta bardzo jest na rękę „Pos. Tageblatowi,“ który pod adresem „Lecha“ taką do powyższej wieści robi wzmiankę:

„Co winien „system pruski“ temu, że umysłowo chory (?) człowiek popełnia samobójstwo? Trzeba będzie do zdarzenia tego powrócić, skoro istotny stan rzeczy stwierdzony zostanie z innej strony. Według dotychczasowych wiadomości, podawanych przez prasę polską w sprawie strejku szkolnego, należy opis „Lecha“ przyjąć z powątpiewaniem.“

Naturalnie! „Pos. Tagebl.“ i sferom rządowym wiadomość o dzieciach popełniających samobójstwo dla tego, że szkoła trzyma je w strasznej obroży dla tego tylko, że są polskiemi — musi być strasznie niewygodna. Dodajmy do tego, że wiadomość ta następuje tuż po wozie Drzymały, że sfery rządowe spodziewać się muszą, że obiegnie ona świat cały, że imię pruskie na tym świecie zbyt czczone i szanowane i tak już nie jest — a zrozumiemy, dla czego „Pos. Tagebl.“ nie wierzy jej, stara się odjąć jej grozę tego, że spowodował ją system pruski — bo boi się o resztę szacunku w świecie, boi się tego świata pogardy. Niestety — trupy nie nikną, groby mówić umieją. A z grobu tego dziecka popłynie po świecie skarga i żal na smutek i niedolę, na utratę w kwiecie wieku życia i nadziei, popłynie przekleństwo za krzywdę doznaną . . . . . . a świat ją osądzi! . . . .

* * *

Godne (!?) uzupełnienie powyższej wieści stanowić może doniesienie o następującem wydarzeniu:

„Pan *Franciszek Kończak* z Krotoszyna, bawił dnia 9 b. m. z żoną i najstarszym synem we Wrześni. Wieczorem o 6 odjeżdżał. Wchodząc do wagonu, żona p. K. pozdrowiła znajdujących się tamże dwóch „przyzwoicie“ ubranych mężczyzn polskiem „dzień

dobry". Kończakowie żegnali się z synem — oczywiście po polsku. Mówiąc do syna „do widzenia Mieciu", uczuł p. Kończak na ramieniu swojem czyjąś rękę, a w uszach zabrzmiał mu rozkaz: Mów pan po niemiecku — nie po polsku! Pan K. wyprosił sobie zaczepkę i wychylił się oknem, by o zdarzeniu tem opowiedzieć szafnerowi i prosić go o inne miejsce. Szafner zbył p. K. milczeniem. Pociąg ruszył.

Opis dalszy bierzemy z listu pana Kończaka:

„Zająłem miejsce obok żony. Lecz skoro kilka słów z nią zamieniłem, wstał ze swego miejsca, które zajmował, młodszy pan i z zaciśniętemi pięściami i z wyciągniętą naprzód głową, z roziskrzonemi oczyma, biegnie do mnie i krzyczy: Deutsch sprechen — deutsch sprechen — deutsch sprechen. (Po niemiecku mówić.)

„Za trzecim wykrzyknikiem pchnął go starszy pan w plecy całą siłą. Ten pada na mnie, poprawia się, chwyta mnie z całej siły *pod gardło*, przyciska do ściany wagonu tak, iż od razu pozbawiony byłem oddechu i siły do obrony. Drugą zaś ręką ściśniętą w pięść zaczął mnie *w nieludzki sposób bić po twarzy*. Żona twierdzi, iż twarz miałem siną i oczy wysadzone, krwią nabiegłe.

„Żona moja krzycząc, odciąga napastnika odemnie, ile jej sił starczyło. On zaś puszcza mnie, *chwyta żonę pod gardło, rzuca w kąt wagonu i zaczyna bić ją z całej siły*.

„Widząc to wspomniany szafner, ciągnie za alarmujący sygnał (Not-Bremse), lecz ten wypowiedział posłuszeństwo. Rzuca się więc z całą siłą na pomoc mej żonie — i po dość długich wysileniach, zwalcza napastnika. Także obecny pan Kasper Galantowicz z Gniezna przybył z pomocą.

„Ja odebrałem 7—8 uderzeń, nad okiem lewem wyszedł guz w wielkości talara. Żona zaś miała przeciętą, skaleczoną dolną i górną wargę, krew zbroczyła cały przodek u stanika, kołnierz u tegoż podarty, przyczem broszka wyrwana gwałtem, zaginęła.

„Mszcząc się napastnicy na szafnerze, powiedzieli mu: „Du bist auch solcher verfluchter Pole wie die". (Ty też jesteś takim przeklętym Polakiem jak ci.)

„Gdyby nie szafner i wspomniany wyżej pan Galantowicz, *przypuszczam, iż żywo by nas nie puszczono!!*

„Szafner poodbierał napastnikom bilety — a na stacyi w Chwalibogowie musieli powiedzieć, jak się nazywają.

„Nas umieszczono w innym wagonie. Napastnicy jechali stacyę dalej i o ile pamiętam w „Schöndorf" wysiedli, krzycząc na całe gardło: Komm raus du verfluchter Pole — komm. (Wyjdź jeno ty przeklęty Polaku, wyjdź.)

„Przez urzędnika kolejowego (stacyjnego) z Chwalibogowa zostałem uwiadomiony, iż jeden z napastników nazywa się Frankenseuter, jest restauratorem i pochodzi z „Schöndorfu" (!), a drugi jest kolonistą, nazywa się Leindekehr i pochodzi z Scherse.

„Sprawę oddałem prokuratoryi, dołączając atest lekarski.

Franciszek Kończak.

Doprawdy! — tam dziecko szukające ulgi przed cierpieniami moralnemi na stryczku, tu brutalna napaść na spokojnych pasażerów, w kolei, pod osłoną praw policyjno-kolejowych, napaść, która mogła się była skończyć zabójstwem — tam śmierć, tu groźba śmierci, tam skutek systemu, tu skutek ochrony tegoż systemu, którą znajdują pupile — koloniści! — Doprawdy, że rząd nie dziwi się *naszemu spokojowi?!* — że *nie obawia* się odwetu ze strony polskiej?! — że *pozwala* na dalsze przeciwko nam nagonki — to już doprawdy zbyt wielka lekkomyślność! — Czyżby może istotnie hakacie chodziło o wywołanie *zaburzeń* wśród nas? — Bylibyśmy w takim razie zniewoleni społeczeństwo nasze przestrzedz przed jakimikolwiek nierozważnymi krokami. To oczywiście bynajmniej nie nakłada na nas obowiązku, abyśmy pozwalali się w razie napaści zarzynać jak barany. Nie — nie napadajmy, o to nam chodzi — ale, gdy nas napadnie kto, to nam się bronić wolno, choćby napastnikiem był najbardziej miły rządowi — obrońca „uciśnionej niemczyzny!"

* * *

Ale nie tu koniec zuchwalstwa kolonistów. Oto, o czem donosi *„Wielkopolaninowi"* list z *Wyrzyska:*

„Ja niżej podpisany otrzymałem list następujący: „Nimm dich in Acht, du wirst ebenfalls abgebrannt auf alle 4 Ecken. O ihr Pollaken, ihr sollt an mich denken! Es soll auf vier Gehöften auf einmal brennen. Dein bester Freund??!!" — List ten mnie zadziwia. Czy to prawda, czy złuda? Rzeźnik tutejszy p. Mollich i siodlarz p. Wętkowski otrzymali listy mniej więcej tej samej treści, więc trzy wyznaczono miejsca. Dołączyłbym ów list, ale oddałem go policyi. Jak temu zapobiedz? Jeżeli prawda, to podpalaczem jest hakatysta.

W. Romiński, kołodziej."

To znaczy po polsku: bądź ostrożny! — podpalą cię na wszystkich czterech rogach. Wy Polacy, mnie popamiętacie. Cztery gospodarstwa zostaną od razu spalone. Twój przyjaciel. . . . .

A kto wie, czy to wszystkie wiadomości! — czy nie ukrywa się podobnych więcej między ludem naszym?

Zaiste! — „piękne" to owoce zjazdów hakatystycznych! Posłowie nasi powinni zebrać, o ile możności na miejscu, jak najszczegółowsze wiadomości, posłać je ministrom — a później podnieść głos oskarżenia w sejmie i parlamencie! — ale głos spokojny i poważny. Prasa nasza wypadkom tym nada odpowiedniego ubarwienia — niech posłowie tylko zrobią swoje, a przecież jeżeli nie więcej, to uczucie — wstydu uda nam się obudzić w sferach rządowych.

Społeczeństwo powinno w tem usiłowaniu i posłów i prasę najgorliwiej wspierać. Rozbudzenie wstydu może być pierwszym krokiem do rozbudzenia uśpionego sumienia pruskiego, nieczułego na krzywdy słabszego!

* * *

W sprawie Modliszewka w prasie naszej potrącono także o osobę ks. Niesiołowskiego z Pleszewa, syna p. A Niesiołowskiego, który Modliszewko zaprzepaścił. I powstał spór o to, czy obwinić ks. Niesiołowskiego choćby o daleki współudział w tej sprawie i zrzucić nań część winy, czy też uniewinnić go zupełnie. Z wszystkich tych głosów przebija chęć uniewinnienia. Chodzi tylko o to, czy ks. Niesiołowski ma publicznie zabrać głos w własnej sprawie, czy też ufać jego nieskazitelnej dotychczas i owocnej na niwie narodowej działalności.

Są w prasie naszej głosy „za" i „przeciwko" publicznemu wystąpieniu ks. N. we własnej obronie. Nam wydaje się rzeczą bardzo trudną wymagać od ks. N. aby siebie bronił publicznie. Bo, choćby nawet ani słówkiem nie potępił ojca, sama obrona jego — będzie takiem potępieniem. I owóż tu jest ów konflikt sumienia, o którym mówiliśmy w jednym z ostatnich numerów. Konflikt — między poczuciem własnej godności, a obowiązkiem synowskim. Nam się wydaje, że tego serdecznego bólu, jaki toczy się w duszy ks. Niesiołowskiego, nam nie wolno chcieć rozdzierać przed forum publicznem. Jeżeli wierzymy, że ks. N. jest niewinny, w takim razie wierzmy w to nawet bez jego zaręczenia publicznego, że tak jest.

Inaczej zupełnie ma się rzecz z p. *Ludwikiem Niesiołowskim* „sprzedawczykiem" z przed 5 lat, a *administratorem* dóbr p. Turno z Objezierza (!). Jego udział w tej sprawie charakteryzuje następujące doniesienie do *„Kuryera Poznańskiego."*

„Na dwa czy trzy dni przed sprzedażą pp. Ludwik Niesiołowski, Swinarski i Sulerzyski, wspólnie automobilem jadąc ku Poznaniowi, przystanęli pod Chwałkowem, ponieważ automobil się zepsuł. Panowie Niesiołowski i Swinarski zostali w automobilu, p. Sulerzyski zaś wstąpił do dworu okolicznego właściciela ziemskiego, przed którym wyjawił, że jego podróż automobilowa z pp. N. i Sw. na celu ma

nabycie pewnego majątku w okolicy Trzemeszna.

Wystarcza sama postać takiego Swinarskiego, by o uczestniku tej jazdy automobilowej, p. Ludwiku Niesiołowskim, i jego roli przy przefrymarczeniu Modliszewka stosownego nabrać mniemania. Dla nas p. L. N. już na mocy swej pierwszej frymarki przestał istnieć w znaczeniu moralnem. Niestety mamy w społeczeństwie ludzi, pod których protektorat uciekają się sprzedawczycy, by — dalej frymarczyć polską ziemią i polskim ludem".

* * *

Społeczeństwo nasze co raz więcej zbiera dowodów na to, że sądy, jeżeli wyroków swoich nie motywują względami politycznemi, to jednak względom tym nadają rolę czynników miarodajnych do postępowania sądowego w takich sprawach, do których dotąd się sądy nie mieszały. Oto przykład.

Pani Julianna Gonia z Komorzewa była opiekunką nad dziećmi swemi, pochodzącemi z pierwszego małżeństwa z zmarłym Antonim Lemke. Otóż w tych dniach sąd rogoziński pozbawił ją tego „urzędu opiekuńczego". Dokument świadczący o tem, ma w tłómaczeniu polskiem brzmienie następujące:

Uchwała.

„W sprawie opiekuńczej po zmarłym komorniku, Antonim Lemke z Pauliny pozbawia się urzędu opiekuńczego żonę osadnika Juliannę z Reinków Goniową zamieszkałą w Komorzewie. Ojciec powierzonych jej pieczy dzieci, był Niemcem, a także i dotychczasowa opiekunka, t. j. matka owych dzieci, pochodzi z rodziny, należącej do niemieckiej narodowości.

Pomimo to matka od czasu, gdy powtórnie wyszła za mąż za Polaka, bezprzestannie stara się o to, aby dzieci wychować na Polaków. Ażeby temu zapobiedz, wymaga interes dzieci, aby ustanowić innego opiekuna."

Rogoźno, dnia 4 września 1907 r.
Królewski sąd obwodowy.
podp. Matthias,
radzca sądu obwodowego.

Wygotowano:
Rogoźno, dnia 4 września 1907 r.
podp. Andersen.

Do faktu tego dodaje *„Dziennik Poznański"* następujące wyjaśnienie:

„Z strony dobrze poinformowanej donoszą nam, że ojciec owych dzieci, a mąż pierwszy Goniowej pochodził z rodziny mieszanej, z żoną swoją, teraźniejszą Goniową mówił po polsku, a nawet do nabożeństwa używał polskiej książki. Trzy jego siostry wyszły za Polaków, jedna za Niemca, dwaj bracia ożenili się z luterkami i do kościoła wcale nie chodzą.

Co do Goniowej samej, to ojciec jej był Niemcem katolikiem, ale matka była Polką. Całe też rodzeństwo, tak jak Goniowa, wychowane zostało w języku polskim. Rzecz naturalna, że Goniowa, odebrawszy w domu rodzicielskim wychowanie polskie, daje takie samo wychowanie także i swoim dzieciom. Temu właśnie zapobiedz chce rogoziński sąd opiekuńczy, odbierając jej opiekuństwo, a wychodząc z założenia, że Goniowa jest Niemką!

Goniowa przeczy temu, ona sama chce należeć do narodowości polskiej. Przypuśćmy jednak, że tak jest, jak sąd opiekuńczy twierdzi. W takim razie jakież to konsekwencye z uchwały sądowej wyciągnąć by należało? — Wszak nie inne jak te, że Niemiec ma dzieci wychowywać po niemiecku, a Polak po polsku. A dlaczegoż to, jeśli tak ma być, n. p. nauczyciele ludowi pruscy lub urzędnicy pruscy choć notorycznego pochodzenia polskiego wychowują z małemi wyjątkami dzieci po niemiecku? Jeżeli więc faktom tym zaprzeczyć nikt nie może, czemuż władza nie rewindykuje także dzieci w tych przypadkach na rzecz polskości? Wszak jedna i ta sama jest tu zasada etyczna. Tak, to prawda, ale jest na to wytłomaczenie w znanym frazesie: Ja Bauer, das ist was anderes!

Strona prawna przedstawia się tak:

Jeżeli ojciec dziecka umrze, a pozostanie matka, wtedy matka nad dziećmi swojemi dzierży „władzę rodzicielską." Warunki, w jakich ojciec rodzony wykonuje władzę rodzicielską, przechodzą prawie bez zmiany na matkę (§ 1684, 1686, 1687 — 1697 kodeksu cywilnego).

Władzę rodzicielską traci matka, skoro wychodzi powtórnie za mąż. Jednakże ma ona prawo i obowiązek, starać się nadal o osobę dziecka (§ 1607 kodeksu cywilnego).

Wypadek taki zachodzi właśnie w sprawie Goniowej. Goniowa jednakże, choć wyszła za mąż i tem samem pozbawiła się „władzy rodzicielskiej," ustanowioną została jako opiekunka swoich dzieci i przez to odzyskała znów władzę rodzicielską nad niemi (§ 1800 kodeksu cywilnego).

Sąd opiekuńczy podług § 1837 kodeksu cywilnego ma prawo dozorować ogólną czynność opiekuna i wkroczyć, jeżeli opiekun swoich obowiązków nie wykonuje. Na tym przepisie zasadzać się może przytoczona przez nas uchwała sądu rogozińskiego, choć dziwnym sposobem nie powołuje się na żaden paragraf ustaw ani niemieckich, ani pruskich.

Pozostałaby jeszcze do wyjaśnienia prawnego kwestya, w czem właśnie uchybiła matka? Oczywiście, podług mniemania sądu opiekuńczego, — w kierunku politycznym, bo nie wychowuje dzieci na Niemców! Ależ kwestye polityczne nie mają właściwie w rzeczach tego rodzaju odgrywać roli, — tak przynajmniej postanowiono przy obradach nad kodeksem cywilnym. Czekamy przeto na dalszy przebieg tej zasadniczej nie tylko dla nas, lecz i dla innych politycznych stronnictw sprawy."

Redakcya.

Żadne z pism całego zaboru pruskiego nie posiada tak bogatego działu redakcyjnego, tak obfitego działu obrazkowego — jak „Praca", a zapowiadamy pod tym względem jeszcze znaczne w przyszłym kwartale ulepszenia. Któż wobec tego żałowaćby mógł jeszcze tych kilku trojaczków na przedpłatę? — Wrócą mu się one przez czytanie pilne „Pracy" stokroć razy.

Przegląd polityczny.

W *Klajpedzie*, z niemiecka Memel przezwanej, mieście nad litewskim Niemnem odsłonięto w poniedziałek na pamiątkę r. 1807 w obecności ces. Wilhelma II pomnik, przedstawiający Borusyę targającą więzy i unoszącą sztandar wolności.

W „Dziale illustrowanym" poświęciliśmy swego czasu dużo miejsca na przypomnienie narodowi pruskiemu, że i jemu Opatrzność Boska zgotowała w r. 1807 dni nieszczęścia i klęski. Owczesny król Fryderyk Wilhelm III wraz z królową Ludwiką musiał po bitwie pod Jeną i Auerstädtem uciekać aż do Klajpedy, ażeby uchronić się od grożącej mu z rąk zwycięskiego Napoleona I hańby niewoli.

Ale czasu nieszczęścia król pruski użył na przeprowadzenie reform, które zbliżyły naród do tronu, tak że w latach 1812 i 13 cały nieomal powstał, by odzyskać utraconą swobodę.

Przypomnieć warto tutaj owe reformy. Uwolniono handel od ciążących na nim pętów, zezwolono na *wolny przewóz po kraju towarów*, na *wolny wybór procederu*, *zniesiono pańszczyznę*. Zmieniono *zarząd prowincyi* i zaprowadzono *nową ordynacyę miast*. Tu zbudowano podwaliny do t. zw. *powszechnej obrony krajowej*, na mocy której każdy obywatel pruski ma obowiązek pełnić służbę wojskową.

Tych reform dokonano w chwili nieszczęścia. Inny duch wówczas owiewał tron, rząd i naród pruski.

A choć cesarz Wilhelm II w podziękowaniu swojem za urządzenie tej uroczystości przypomniał i potrzebę ducha religijnego i moc Opatrzności Boskiej — to niestety ducha tego nie widać dziś w pruskiej polityce, nie widać uległości i poddania się Opatrzności Boskiej. Dowodem polityka rządu przeciwko nam Polakom, tak przeciwna duchowi religijnemu i woli Opatrzności.

Czegóż to dowodzi? — Albo, że „ludzie używają imienia Boga nadaremno" — albo tego, że zawsze w dzia-

łaniach ludzkich jest wielki rozdźwięk między słowami a czynami. Co do polityki pruskiej względem nas oba te wnioski są słuszne!

Niemcy. W. Rzeszy panuje wielka radość z powodu wieści o śmierci *Morengi*, czarnego powstańca przeciwko rządom niemieckim we wschodniej Afryce. Zdaje się, jakoby śmierć tego jednego murzyna uwalniała już Niemców od wszelkich kłopotów kolonialnych. Czy tak? — przyszłość to pokaże.

Rosya. Wiadomości dochodzące o wynikach wyborów zdają się wskazywać na to, że mimo ograniczeń opozycya zdobywa sobie większość przedstawicieli w III Dumie. Pomimo tego koła rządowe przyjmują odnośne wieści prawie obojętnie. Uprzątnąwszy się tak łatwo i bezkarnie z dwoma pierwszemi Dumami — trzeciej już się nie obawają.

Marokko. Panuje tutaj wprost chaos. Nadzieje Francyi, że szczepy marokańskie kilkoma ostatniemi klęskami spowodowane zostaną do zawarcia z generałem Drudem jakiegoś przymierza czy pokoju — zawiodły. Poddały się tylko 3 szczepy, które najbardziej cierpiały z powodu bliskości wojska francuskiego. Inne wysłały podobno do Mulej Hafida prośbę o pomoc przeciwko Francyi. Powstały pogłoski, że Mulej Hafid żądaniu temu chce zadość uczynić.

Tenże Mulej Hafid rozesłał do przedstawicieli państw europejskich orędzie z zaręczeniem pokoju w razie swego zwycięstwa nad Abdul Azisem, dotychczasowym sułtanem.

Rzekoma bezczynność Mulej Hafida pozbawia go coraz więcej zwolenników. Przyczynia się ku temu ciągły brak pieniędzy. Prasa francuska podejrzewa, że Niemcy popierają akcyę Mulej Hafida.

Jeżeli wiadomości o pochodzie Abdul Azisa, o zmianach, jakich miał dokonać w ministerstwie, okażą się prawdziwe, jeżeli prawdziwą będzie wieść, że Mulej Hafid zaledwie 600 wojska liczy, to zdaje się koniec walki o tron marokkański zbliżać. Czy przez to uśmierzone zostaną wewnętrzne zaburzenia, czy poprawi się stosunek Marokkańczyków do państw europejskich, o tem pomimo wszystkiego trudno dziś sądzić.

Jenerał Drude gotuje się do wypraw w głąb kraju.

W Ameryce (Stanach Zjednoczonych) panuje wielkie zainteresowanie, czy Roosevelt, który za rok ustępuje z prezydentury, stanie po raz trzeci do walki o ten urząd, czy nie. Demokraci już gotują się do zaciętej walki. Kontrkandydat Roosevelta z przed trzech lat, *Parker*, występuje znowu na widowni agitacyi przeciwko Rooseveltowi.

Nadchodzą długie wieczory! Jak je zapełnić najużyteczniej? — Czytaniem dobrych, patryotycznych pism!

Które z pism naszych od chwili założenia cieszy się bardziej opinią dobrego i patryotycznego pisma — jak „Praca".

Listy od Przyjaciół.

Z prowincyi.

„Kniksy" niemieckie.

Do artykułu: *„Rzeczy małe, ale ważne"* w nr 37 „Pracy", dorzucam następującą uwagę:

Nie wiem o ile to zachodzi w innych okolicach, ale na krańcach naszego Księstwa Poznańskiego zauważyłem od kilku lat, że dziewczęta szkolne pozdrawiając przechodzących naszem pozdrowieniem katolickiem: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", zwykle przy tem czynią t. zw. *„kniks"* niemiecki, czyli dyg. Śmiesznie to wygląda, lecz prócz tego z katolickiego stanowiska, wcale to nie wypada. W mej parafii zamierzał pewien nauczyciel ten zwyczaj u dziewcząt zaprowadzić, ale gdym go spostrzegł, zwróciłem dziewczętom najprzód uwagę na to, jak niestósownym on jest, a prócz tego pokazałem im przy sposobności, jak „pięknie" taki dyg wygląda. Dzieci się uśmiały, ale od tego czasu podobnych „kniksów" już nie widzę.

X. X.

* * *

List z Galicyi.

Rzochów, w wrześniu 1907.

Ilekroć czytamy o jakiemś ważniejszem zdarzeniu narodowem u Was w zaborze pruskim, to dumą napełnia nas fakt, jak w działalności politycznej i narodowej tam u Was idzie całe społeczeństwo solidarnie. Obok szlachty, co wyzbyła się swych kastowych przesądów, kroczy patryotyczne i przodujące na wszystkich polach pracy narodowej duchowieństwo, a dalej uświadomione warstwy ludowe tak włościańska jak i robotnicza.

I gdy po takiem zaobserwowaniu przypatrujemy się naszym stosunkom galicyjskim, to mimowoli smutno się nam robi, bo jakże daleko do tego stanu jak u Was, jak bardzo daleko?

U nas wyodrębniające się w znacznej większości ziemiaństwo, znaczny jak do dziś wpływ partyi socyalistycznej na robotników, klasowy ruch znacznej części włościaństwa, oto co możemy waszym stosunkom przeciwstawić.

Bezwątpienia szybko rozwijający się ruch narodowy wielkie już w tej mierze poczynił ostatnimi czasy zmiany. Bardzo owocna praca oświatowa i polityczna wśród zaniedbanego ludu polskiego w Galicyi wschodniej i w wielu okolicach zachodniej, zajęcie się i zbliżenie inteligencyi do ludu w pracy oświatowej takich instytucyi jak T. S. L., Tow. Kółek roln., pięknie rozwijający się choć dość jeszcze słaby narodowy ruch robotniczy — oto niewątpliwe znaki, że powoli ku lepszemu się zbliżamy, ale jednak — wiele, bardzo wiele jest jeszcze złego.

Zdawać by się mogło, że przynajmniej w wyborach do parlamentu rozbite społeczeństwo pójdzie solidarnie, by wzorem Poznańskiego i Kongresówki wysłać zwarte przedstawicielstwo. Tymczasem dzięki warcholstwu t. zw. ludowców i sytuacyi, jaką wytworzyli, utraciliśmy 2 mandaty wiejskie na rzecz syonistów.

Prócz tego wskutek odstępstwa znacznej części żydów przeszło w miastach paru socyalistów. W takich warunkach jak również ze względu na obecny skład austryackiego parlamentu było bardzo wskazanem, by wszyscy posłowie polscy złączyli się w solidarnem „Kole polskiem".

Tymczasem 16 ludowców wybranych ze względu na kastowy charakter haseł wyborczych i posługiwania się wszelkiemi środkami celem wabienia głosów nieświadomych wyborców, stoi poza Kołem. Ciekawa to ze wszech miar historya, ciekawa i... bolesna.

W czasie wiosennej kadencyi Sejmu zapowiedział poseł Stapiński wstąpienie ludowców do Koła polskiego. Sam zaś przeprowadził na zjeździe Rady naczelnej stronnictwa rezolucyę, że o tej sprawie zadecyduje po wyborach kongres stronnictwa. Było to obaleniem wniosku roztropniejszych członków z inteligencyi, założycieli partyi żądających wstąpienia ludowców do Koła. Po wyborach jednak ogłosił p. Stapiński, że kongres zebrać się może dopiero w jesieni, do tego czasu zaś ludowcy zostać muszą poza Kołem. I tak się też stało i p. Stapiński został prezesem klubu, równocześnie zaś zgłosił do prezydyum „Koła polskiego" propozycyę porozumiewania się w ważnych sprawach narodowych, a korespondentowi warszawskiego

„Światu“ oświadczył, że dążyć będzie do tego, by lud przekonać, że obecność ludowców w Kole polskiem może mieć dobre strony i że sam będzie za wstąpieniem ludowców do Koła.

Tymczasem w parlamencie głosował z swym klubem zawsze z socyalistami i Rusinami, byle nie z Kolem (prócz wyboru prezydyum Izby), a obecnie sejmiki relacyjne posłów-ludowców za ich inicyatywą oświadczają się przeciw wstąpieniu ludowców do Koła.

Czy u Was coś podobnego było by możliwe??

Szermierz.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem.* W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Zjazd Tow. Przemysłowych okręgu poznańsko-północnego, do którego należą: Swarzędz, Mur. Goślina, Pniewy, Winiary, Główna, Żegrze, Rataje i Starołęka, *odbędzie się w niedzielę 29 września po południu o godz. 4 w Główni w lokalu p. Benscha.*

* * *

Wielki wiec „Straży“ w Berlinie odbędzie się 20 października r. b. Jako główny mówca wiecowy pozyskany został znany z świetnej wymowy poseł dr. Zygmunt Dziembowski z Poznania.

* * *

Zjazd delegatów Towarzystw rolniczych odbędzie się w czwartek dnia 3-go października o godzinie 1 po południu na sali p. Likowskiego w Pelplinie.

Porządek obrad: 1. Zagajenie zjazdu, wybór zarządu i sprawdzenie legitymacyi delegatów. 2. Sprawozdanie roczne patronatu. 3. Wybór patrona w miejsce ś. p. E. Donimirskiego. 4. Wnioski.

Towarzystwa rolnicze uprasza się o liczny udział i zaleca się o ile do czasu zjazdu nie zdołają uskuteczić wyboru nowych, wysłać na zjazd zeszłorocznych delegatów zaopatrzonych w legitymacye swych prezesów. Trzeba stawić się dla ważności sprawy w komplecie.

Z polecenia
gospodarzy sejmiku toruńskiego
Domaradzki.

Przysiersk, 9 września 1907.

* * *

Walny wiec wyborców dla Westfalii, Nadrenii i sąsiednich prowincyi odbędzie się w Essen na sali p. Meistra (Alfredushaus) *w niedzielę, dnia 29 września* o godzinie 11 i pół w południe. Obrady rozpoczną się punktualnie. Porządek obrad: 1. Ostateczne uchwalenie nowego regulaminu wyborczego. 2. Uzupełnienie Głównego Komitetu Wyborczego a mianowicie wybór przewodniczącego i pierwszego sekretarza. 3. Sprawozdanie poselskie posła Brejskiego. Wolna dyskusya i wolne wnioski.

A. Wojczyński,
przewodniczący Głównego Komitetu Wyborczego Polskiego dla Westfalii, Nadrenii i sąsiedn. prowincyi.

Z piśmiennictwa.

Nr. 9. (na wrzesień) *„Przewodnika zdrowia“* (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera: *Treść:* Pierwszy stopień. Podług L. Tołstoja. — „Jedynak“ i jego hygiena. — Analiza niektórych środków leczniczych tajemnych i specyfików. — Praktyczna Wyższa Szkoła Ogrodnicza Żeńska w Gumniskach. — Godne naśladowania przykłady szerzenia oświaty i dobrobytu. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

* **Ważne dla każdego towarzystwa polskiego.** Pewna osoba, dbająca o należytą oświatę naszego społeczeństwa, przeznaczyła skromną kwotę na zasilenie czytelni towarzystw naszych — stosownie do naszego rozporządzenia. W tej myśli wyszlemy każdemu towarzystwu oprócz książeczki, zawierającej najważniejsze paragrafy z nowego kodeksu cywilnego, dotyczące towarzystw i zaopatrzone praktycznymi uwagami, także jeszcze 2 książki hygieniczne — wartości razem 3,75 m. — skoro Zarząd towarzystwa do nas się zgłosi z równoczesnem nadesłaniem 50 fen. (60 hal. = 30 kop.) na porto i opakowanie. W pierwszym rzędzie uwzględnimy towarzystwa z zaboru pruskiego i na obczyźnie.

Adresować należy: Redakcya „Przewodnika Zdrowia“
Czarnowski
Berlin N. Weissenburgerstr. 27.

„Przewodnik dla wyjeżdżających do Brazylii“ — wyszedł nakładem F. B. Zdanowskiego — główny skład w księgarni G. Gebethner i Sp. w Krakowie. „Przewodnik“ ten zawiera szczegółowe informacye co do podróży i wskazówki co do osiedlenia się w niezaludnionych stanach Brazylii. Szczegóły te dotyczą geografii i statystyki Brazylii, emigracyi i kolonizacyi, praw i obyczajów brazylijskich, opis stanów i stolic, stanu rzemiosł, zawodów wyzwolonych, nauki, sztuki, handlu i przetworu podatków na miejscu, opis roślin użytkowych i t. d.

Wiadomości.

* **W sprawie „Mazura“** otrzymaliśmy następujące oświadczenie:

W sprawie „Mazura“ oświadczamy, że podjęta celem sanacyi „Mazura“ akcya nie jest dotąd ukończona, skutkiem czego wyjaśnienie całej spra-

wy społeczeństwu byłoby jeszcze przedwczesne.

Co do rzekomo „zaprzepaszczonych“ 30 000 marek nadmieniamy, że o „zaprzepaszczeniu“ w ogóle mowy być nie może wobec realnej wartości domu i drukarni. Szczegółowe zaś sprawozdanie z funduszu, stawionego nam do dyspozycyi przez osoby prywatne, winni jesteśmy jedynie tymże osobom!

Na zaczepki tych, którzy niczem do akcyi mazurskiej się nie przyczyniwszy, teraz ją w partyjnych celach wyzyskują, odpowiadać — byłoby szkodzić uczciwie podjętej sprawie.

Komitet mazurski.

Z p.

Józef Kościelski. Celestyn Rydlewski.

* **Obchód** *stuletniej rocznicy urodzin Wincentego Pola* odbędzie się w niedzielę, dnia 29-go września 1907 na sali ogrodowej Lamberta staraniem Tow. kobiet „Promień“ z współudziałem: panny Anieli Koehlerówny (odczyt), panny ...... (deklamacya), artysty-pianisty p. Mieczysława Eichstaedta, pana Karola Libelta (deklamacya) Tow. „Lutnia“ oraz Maryi Tracikiewiczówny, pierwsz. artystki opery warszawskiej. Czysty dochód przeznaczony na książki. Początek o godzinie 8-ej wieczorem.

* **Towarzystwo** *Czytelni Ludowych w Poznaniu.* Pod tytułem: *„Samouczek św. Anny“* wydało Tow. Czyt. Lud. elementarz do początkowej nauki czytania i pisania, i oddało go w komis Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

W razie zapotrzebowania prosimy przeto zgłosić się do wymienionej firmy, która i księgarniom i pojedyńczym osobom „Samouczek“ ów przesyła pod jaknajdogodniejszymi warunkami.

* **Paryski tygodnik Le Monde illustré** zamieścił w ostatnim numerze krótki artykuł o wozie Drzymały, opatrzony ilustracyami, które przedstawiają sławne „letnisko“ i portret bohatera z Podgradowic.

* **Projekt** *na nowy wóz dla Drzymały.* Jeden z młodszych stolarzy tutejszych — pisze „Dziennik Berliński“ — który nie tylko jest dzielnym działaczem w „Sokole,“ ale także w zawodzie swoim usiłuje się wydoskonalić na dzielnego zawodowca, bo uczęszcza do tutejszej miejskiej szkoły stolarskiej, przyniósł nam dzisiaj opracowany przez siebie szkic nowego wozu dla Drzymały. Wóz obejmowałby dość obszerny pokój i kuchenkę. Wewnętrzna miara długości wynosiłaby 7 i pół metra, szerokości 3 i pół metra, powietrza w nim byłoby $78^3/_4$ kubicznych metrów, miejsca byłoby w nim 26 i pół kwadratowych metrów.

Koszta takiego wozu obliczył na 1000 mk.

* **Pług rosyjski dla Drzymały.** Gospodarz Drzymała z Podgradowic zyskuje coraz większą sławę europejską. Jak donosi „Dziennik Pozn.“ otrzymał zarząd Tow. akcyjnego H. Cegielski w Poznaniu list od p. S. Szarapowa z Moskwy, w którym p. Szarapow prosi, aby dwa z opatentowanych w Niemczech pługów jego własnego pomysłu ofiarowano gospodarzowi Drzymale, bohaterowi dramatu politycznego „Wóz Drzymały,“ bez wszelkich kosztów. Pługi te p. Drzymała każdego czasu w fabryce Cegielskiego odebrać może.

* **W polskie ręce** przeszło według doniesienia gazet niemieckich gospodarstwo Karola Weiraucha w Strzyżewic (Deutschdorf) w pow. ostrzeszowskim. Gospodarstwo to obejmujące 43 morgi gruntu nabył Bank polski w Ostrowie za 15 450 marek.

* **Gospodarstwo do nabycia!** Piękne, pięć minut od szosy położone 196-morgowe gospodarstwo, włącznie 15 mórg dwusiecznej łąki, ziemia pszenna i żytnia, budynki masywne, inwentarz żywy i martwy kompletny, jest zaraz korzystnie do nabycia.

Bliższych wiadomości udzieli reflektantom

E. Cynka, starosta „Straży“
w Szamotulach (Samter).

* **Kapłani więźniowie.** Pelpliński „Pielgrzym“ wita serdecznie wracających z więzienia kapłanów: proboszcza Batkego z Radomna, proboszcza Kowalskiego z Kazanic, proboszcza dr. Okoniewskiego z Lubawy, proboszcza dr. Lissa z Rumiana, proboszcza Pełkę z Grabowa, proboszcza Majkę ze Samplawy, proboszcza Wachowskiego z Grodziczna.

W dziejach męczeńskich narodu polskiego nazwiska tych zacnych kapłanów, którzy z powodu spraw szkolnych zapoznali się z więzieniami pruskiemi, złotemi literami będą zapisane a lud polski po wszystkie czasy z wdzięcznością o nich wspominać będzie.

* **Powrót z fortecy.** W środę dnia 18-go b. m. powrócił *ks. prob. Bronisław Hertmanowski* z Wisłoujścia, po odsiedzeniu w więzieniu fortecznem *trzech miesięcy* za strejk szkolny do Chojnicy pod Poznaniem. Pomimo, iż zacny ks. proboszcz nie życzył sobie żadnych owacyi przy przyjęciu, pomimo, iż wrócił wieczorem, witano go serdecznie i radośnie. Plebanię przybrano w zieleń i kwiaty, tak samo wnętrze kościoła, gdzie widnieje nowy baldachim i piękna chorągiew, sprawione przez nielicznych, a wdzięcznych parafian. Po przywitaniu udał się ks. proboszcz do kościoła, by podziękować Bogu za szczęśliwy powrót z więzienia.

* **Obie kopalnie inowrocławskie stracone!** Z powodu ogromnego napływu wody, który wynosi podobno 13 000 kubicznych metrów w ciągu doby, obie kopalnie soli uważać trzeba za stracone. Woda zalała także i wyżej położoną kopalnię fiskalną. Rozpuszczono już prawie wszystkich urzędników i robotników.

* **Z teatru.** Przedstawiona jako pierwsza premiera w bieżącym sezonie komedya trzyaktowa, — raczej *farsa*— p. t. *„Cenzor moralności“* jest taką sztuką, o której pisać nie warto. Artyści robili co mogli, aby ratować, mianowicie w akcie trzecim, „nieudolność autora“, i wywiązali się ze zadania dobrze ku ogólnemu zadowoleniu licznie zebranej publiczności. Bohaterem wieczoru był p. Bogusiński w roli komiczno-humorystycznej Lola.

W sobotę 28 bm. wystawioną będzie na naszej scenie wyborna, nadzwyczaj wesoła sztuka z niemieckiego pod tyt.: *„Zażarty automobilista,“* komedya O. Kratza, która w Berlinie, Wiedniu oraz na wszystkich scenach niemieckich grywaną była pod tyt. *„Kilometerfresser“* z ogromnem powodzeniem. W sztuce tej bierze udział cały niemal personał teatralny. (Ceny zwyczajne).

W niedzielę po południu: *„Ach! to Zakopane!“* komedya w 3 aktach. (Ceny do połowy zniżone.)

W niedzielę wieczorem: *„Zażarty automobilista“*, komedya w 3 aktach.

* **Prokuratorya gnieźnieńska** wytoczyła p. *Antoniemu Fiedlerowi, wydawcy i właścicielowi zakładu chemigraficznego w Poznaniu,* proces na mocy § 110 z powodu wykonania pocztówek, przedstawiających modlące się dzieci pod krzyżem. Prokuratorya dopatrzyła się w pocztówkach tych zachęcania do strejku szkolnego.

* **Wiec zeszłoniedzielny „Straży“** dla mieszkańców Wildy (w Poznaniu) cieszył się licznym udziałem wiecowników. Głównymi mówcami byli: pp. Milski, wydawca „Gońca“ i Kunz, odpowiedzialny redaktor „Postępu.“ Następnie starosta p. Dobrowolski zdał sprawę z działalności dwuletniej na Wildzie. Ze zaproszonych posłów żaden na wiec nie przybył. Na członków „Straży“ zapisało się wielu kandydatów.

* **Wiec** *„Straży“ w Potulicach,* pierwszy w okręgu bydgoskim wiejskim, odbył się w ubiegłą niedzielę w oranżeryi pani hr. Potulickiej. Przemawiali: pp. dr. Jaworski, delegat „Straży“ z Poznania, dr. Warmiński z Bydgoszczy, A. Kubera, gospodarz z Ślesina i A. Szwedt, robotnik z Bydgoszczy. W półgodzinnej przerwie zapisywano się ochoczo na członków „Straży.“

***Wiec** *w Gniewie* w Prusach Zachodnich odbył się w zeszłą niedzielę z udziałem 250 osób. Przemawiali: pp. Formański, redaktor „Pielgrzyma“ i redaktor Hoffmann. Założono Towarzystwo Ludowe. Na członków „Straży“ zapisało się około 70 osób.

* **Nauczyciele**, wysłani z Nadrenii do Księstwa w czasie strejku szkolnego, powrócą dnia 1 października rb. do swych stron rodzinnych, jak donosi berlińska gazeta „Post.“ A więc — pisze „Köln. Volksztg.“ — energiczne napomnienia prasy poskutkowały!

* **Kościan**, dnia 22. IX. 07. Zebranie okręgu śremsko-kościańskiego zawodowych stolarzy odbyło się dzisiaj. Obecnych 33 stolarzy oświadczyło się jednogłośnie za założeniem Związku zawodowego stolarskiego. Zebraniu przewodniczył p. dr. Laurentowski prezes okręgowy, referentem był p. Ciesiółka ze Śremu.

* **Z obczyzny.** Wiec Polaków w Dysseldorfie odbył się w niedzielę, dnia 15 września przy udziale około

300 rodaków. Wiec zagaił p. Walenty Chwiałkowski, a przewodniczył mu p. Stanisław Kolenda z Dyseldorfu, protokół spisywał p. Kaźmierz Magdziarz, na ławników powołano pp. Teodora Strzyżewskiego i Bolesława Najdrowskiego. Jako pierwszy mówca zabrał głos p. Ignacy Żniński z Bochum. Określiwszy nasze położenie polityczne w państwie pruskiem, dążenia hakatystów i wywody wszechniemców na zjeździe w Wiesbadenie, mówił p. Żniński obszernie o zasadach i celach pracy narodowej, przedkładając w końcu następującą rezolucyę, którą wiecownicy jednomyślnie przyjęli:

„Zgromadzeni na wiecu Związku Polaków wychodźcy polscy w Dyseldorfie w dniu 15 września 1907 r. powzięli następującą uchwałę:

Wobec zakus wszechniemieckich wywłaszczenia Polaków z ziemi ojczystej piętnujemy iście barbarzyńską zasadę, że „w polityce musi siła iść przed prawem.“ Na tym gołym proteście wszakże nie poprzestajemy. Żądamy od braci naszych tak na wychodźtwie, jak w kraju naszym rodzinnym, aby nie ustawali w pracy narodowej — na zewnątrz przy zachowaniu możliwie najwyższej samodzielności narodowej i wszechstronnej, równość stanów, wewnątrz zaś przez organizacyą samoistnej pracy narodowej, szerzenie oświaty ludowej, polepszenie doli robotników — ku zgodnej obronie przeciwko zamachom wrogów naszych.“

Przemawiali jeszcze p. Chwiałkowski o towarzystwach polskich w Dyseldorfie, p. Najdrowski o towarzystwie Polonii, p. Witkowski o Sokole.— Na wniosek p. W. Franki z Bochum ustanowiono mężów zaufania Związku Polaków; są nimi pp. Kurke i Drygas z Dyseldorfu, Strugała z Ratke, Kierblewski z Hilden, Wojciechowski z Bernthe.

* **Baczność!** Z dniem 1 października talary nie będą przyjmowane przy placeniu, dla tego zwraca się uwagę szan. czytelnikom, aby takowe już teraz wymieniali w urzędach i bankach.

* **Zamordowanie** *polskiej robotnicy.* W Luebz w księstwie Meklenbursko-Skwierzyńskiem zamordował 16 letni pomocnik żniwiarski Hubert von Roode z Hamburga 39 letnią żniwiarkę Osiewaczową z Polski zaboru rosyjskiego i zabrał jej 200 marek oszczędzonych pieniędzy, które zamordowana chciała zanieść mężowi zatrudnionemu w wsi Weisin. Prokuratorya wyznaczyła 300 marek nagrody za schwytanie mordercy, ktorego już ujęto w Szczecinie.

* **Ze Lwowa** otrzymaliśmy następującą *odezwę w sprawie polskiego słownictwa rolniczego.* Wybrana przez Sekcyę przyrodniczo-rolniczą X Zjazdu lekarzy i przyrodników komisya dla spraw polskiego słownictwa rolniczego, zwraca się niniejszem do Ogółu rolników, pracujących na ziemiach polskich, zarówno w kierunku praktycznym jak i teoretycznym, z gorącem wezwaniem do współudziału w zamierzonej pracy nad oczyszczeniem języka z obecnych naleciałości, ujednostajnieniem słownictwa rolniczego, a zarazem zebraniem wszelkich w tymże dziale nazw miejscowych, rdzennie polskich.

Wszyscy, którzyby pragnęli przyczynić się do powyższej, tak dla nas ważnej sprawy zechcą zgłosić się osobiście lub listownie u podpisanego: (Lwów, ul. Karola Ludwika 3, Towarzystwo Gospodarskie), a otrzymają bliższe objaśnienia, jak i druki potrzebne do zbierania odnośnych materyałów.

Za Komisyę dla spraw polskiego słownictwa rolniczego

Bronisław Janowski.

* **Pomocy w lekcyach** *udziela* dziewczętom i chłopcom, uczy także *języka polskiego* oraz *historyi i literatury polskiej* młoda Polka pod *korzystnemi warunkami.* Bliższej informacyi udzieli redakcya „Pracy.“

* **Wszystkie preparaty kosmetyczne** fabryki chemicznej, stanowiącej własność naszego rodaka, p. *Zacheusza Rittera*, odznaczają się wyborową jakością swych składników i — co najważniejsza — są zupełnie nieszkodliwe dla zdrowia. Stąd też zarząd wystawy lekarzy i przyrodników, odbytej we Lwowie w czasie od 20. lipca do 25. sierpnia r. b., odznaczył jeden z wytworów kosmetycznych p. Rittera medalem srebrnym. Odznaczenia tego dostąpił mianowicie słynny hygieniczno-kosmetyczny proszek do mycia twarzy i rąk, znany powszechnie pod nazwą „Arystokratyna.“

* **Zwracamy** *baczną uwagę* rodzicom i opiekunom na ogłoszenie pani *M. Kołodziejowej, egzaminowanej nauczycielki*, wdowy po lekarzu, polecającej swój pensyonat w Poznaniu przy ulicy Zielonej 7. II.

Nekrologia.

Śp. Katarzyna z Marcinkowskich Gryps, dnia 9-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† *Ś. p. Wojciech Skrzętny*, dnia 9. b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 72. R. i. p.

† *Ś. p. Marya Augustyniak*, dnia 10-go b. m. w Pamiątkowie w 11-ej wiośnie życia. Pogrzeb odbył się w Szamotułach. R. i. p.

† *Śp. Zofia z Hejnowiczów Beissertowa*, dnia 14-go b. m. w Maniewie pod Wargowem. Zwłoki złożono w grobie familijnym w Gostyniu. R. i. p.

† *Ś. p. Józef Łaski*, dnia 10-go b. m. w Lubierzynie (Prusy Zach.). Pogrzeb odbył się w Raciążu. R. i. p.

† *Ś. p. Adam hr. Kwilecki*, dnia 15. b. m. w Höchst nad Menem pod Frankfurtem w 38-ym roku życia. R. i. p.

† *Ś. p. Wincenty Pawłowski*, budowniczy, dnia 16-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† *Ś. p. Mieczysław Szymański*, weterynarz, dnia 16-go b. m. w Pleszewie. R. i. p.

† *Ś. p. Prakseda z Wysockich Adamska*, dnia 17-go b. m. w Gnieźnie w 75-ym roku życia. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na nowy wóz dla Drzymały złożyli na moje ręce:

1) rodacy z Rakoniewic i okolicy 28,00 mrk.

2) rodacy na wiecu „Straży“ w Potulicach 10,00 mrk.

3) redakcya francuskiego pisma „le monde illustre“ po umieszczeniu podobizny Drzymały i jego wozu franków 25.

Poznań 24. IX. 07.

Dr. Tadeusz Jaworski.

Od Redakcyi.

— Panu Kazimierzowi M. w Dyseldorfie. — Dziękujemy za łaskawą pamięć; zamieszczamy treściwą notatkę, którą otrzymaliśmy wpierw, gdyż brak miejsca nie pozwala na zamieszczenie długich referatów.

— Panu Ignacemu P. w Freisenbruch. — Adres: *J. Chociszewski, Gniezno — Gnesen — Provinz Posen* — wystarczy zupełnie.

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Czy to jest tam?! — ryknął Pew.

— Pieniądze są.

Ślepiec zaczął kląć pieniądze.

— Pismo Flint'a, mówię — zawołał.

— Nie znaleźliśmy go tu nigdzie — odparł człowiek.

— Na dół, wy tam w górze, jest na Billu — zawołał ślepy żebrak znowu.

Lecz w tej chwili inny drab, zapewne ten, który pozostał na dole, aby przeszukać trupa kapitana, ukazał się w drzwiach gospody. — „Bill został już wypatroszony — rzekł — nic nie pozostało.“

— To ci ludzie z gospody, to ten chłopiec. Żałuję, żem mu nie wykłul oczu! — zawołał ślepiec Pew.

— Byli tu niedawno, zamknęli drzwi, gdym chciał wejść. Rozbiegnijcie się, chłopcy i wynajdźcie ich.

— Ani chybi, zostawili tu nawet swój ogarek — wtrącił drab w oknie.

— Rozbiegnijcie się i znajdźcie ich. Przetrząśnijcie cały dom! — powtarzał Pew, stukając pałką o ziemię.

Wszczęła się gwałtowna bieganina po całej naszej starej gospodzie, ciężkie nogi waliły obcasami tam i sam, sprzęty leciały z łoskotem z kąta w kąt, drzwi trzeszczały w zawiasach, wywalane kopnięciem nogi, łomot i wrzawa, że aż echo poszło po górach. Nareszcie ludzie wypadli, jeden po drugim na ulicę, oświadczając, że nie mogli nas nigdzie znaleźć. Wtem, ten sam świst, który tak bardzo przeraził moją matkę i mnie samego, gdyśmy byli zajęci przeliczaniem pieniędzy kapitana, rozległ się znowu głośno i wyraźnie wśród nocy, ale tym razem powtórzony dwukrotnie. Myślałem zrazu, że jest to, aby się tak wyrazić, trąbka ślepca, zwołująca jego szajkę do ataku, ale teraz poznałem, że oznaczał on raczej sygnał, biegnący od wzgórza ku osadzie i sądząc z wrażenia, jakie uczynił na korsarzy, sygnał, ostrzegający ich przed zbliżającem się niebezpieczeństwem.

— Oto Dick odzywa się znowu — rzekł jeden. — No, musimy stąd ruszać, towarzysze.

— Rusz się tylko, ty, psi synu! — krzyknął Pew. — Dick był zawsze głupcem i tchórzem, ktoby teraz na niego zważał. Oni muszą być tuż blizko, nie mogą być nigdzie daleko, dotykacie ich niemal rękoma. Biegnijcie i szukajcie ich, psy! O! niech mię kule biją! — wołał. — Gdybym miał oczy! Ten krzyk zdawał się wywierać pewne wrażenie, gdyż paru drabów zaczęło przepatrywać tu i tam pomiędzy okolicznemi krzakami, z widoczną niechęcią i nie spuszczając z oka własnego niebezpieczeństwa, podczas gdy reszta stała, wahając się na drodze.

— Macie tysiące pod rękoma, wy głupcy i stoicie bezradni, wytrzeszczywszy ślepia! Moglibyście tarzać się w złocie, jak królowie, gdybyście to znaleźli i wiecie, że to jest tu i stoicie z założonemi rękoma, jak durnie! Nikt z was nie śmiał zajrzeć w twarz Billowi, a ja to uczyniłem, ja, ślepiec! I mam stracić wszystko przez was! Mam pozostać do końca życia biednym, pełzającym żebrakiem, chłepczącym rum, gdy mógłbym paradować w karecie! Gdybyście mieli tyle szczęścia, co ziarnko maku, jużbyście ich byli złapali!

— Bierz licho! Pew, mamy dublony — mruknął jeden.

— Pewno schowali gdzie ten przeklęty papier — rzekł drugi. — Bierz Jerzych *), Pew, i przestań się pienić.

Było to nader stosowne wyrażenie, gdyż wściekłość starego Pew rosła z każdą z tych uwag. Wreszcie, tracąc wszelkie panowanie, zaczął wywijać na oślep, w prawo i w lewo swym kijem, który spadł ciężko na plecy niejednego z gromady.

Ci, ze swej strony, klęli starego niegodziwca i grozili mu w najdzikszy sposób, starając się na daremnie pochwycić kij i wyrwać mu go z rąk.

Kłótnia ta była naszem zbawieniem, bo gdy wciąż jeszcze wrzała, rozległ się inny odgłos ze szczytu wzgórza po drugiej stronie osady: tętent galopujących koni. Prawie w tejże chwili strzał pistoletowy błysł i rozbrzmiał jednocześnie z poza wzgórza. Był to najjawniej ostatni sygnał grożącego niebezpieczeństwa, gdyż korsarze natychmiast zawrócili z miejsca i rozpierzchli się bezładnie, każdy w przeciwną stronę. Jeden pędził ku morzu brzegiem zatoki, drugi na przełaj przez pola i wzgórza, słowem, gdzie kto mógł. W pół minuty znikli bez śladu, pozostał sam tylko Pew. Czy zapomnieli o nim w panicznym strachu, czy też opuścili go umyślnie, mszcząc się za obelgi i razy, tego nie wiem, dość, że pozostał sam, jak palec. Oszalały niemal z przerażenia i gniewu, biegł po drodze, macając przed sobą kijem i nawołując rozpaczliwie towarzyszy. Zwrócił się wszakże w mylną stronę i przeleciał o kilka kroków około mnie, ku osadzie, wołając:

— Johanny, Czarny Psie, Dirle — oraz inne imiona — co? — opuszczacie starego Pew? Nie, to niemożebne, nie zostawicie chyba starego Pew!

Ale tentent koni zagłuszył go i pięciu czy sześciu jeźdźców ukazało się właśnie w blasku księżyca, pędząc w pełnym galopie po pochyłości.

Pew, widząc swą omyłkę, zawrócił natychmiast i biegł wprost do rowu, do którego też zwalił się na głowę. W mgnieniu oka był znowu na nogach i wyskoczył na drogę, ale zupełnie oszołomiony, wpadł pod kopyta najbliższego konia.

Jeździec usiłował powstrzymać rumaka, ale nie zdążył.

Ze strasznym krzykiem, który jak chrapliwy zgrzyt przeszył ciszę nocy, Pew upadł na ziemię, a ciężkie kopyta przeleciały po nim, tratując go niemiłosiernie. Zrazu leżał na boku, potem przewrócił się powoli twarzą do ziemi i zastygł bez ruchu.

Wyskoczyłem z rowu i krzyknąłem na jeźdźców. Zatrzymali się natychmiast, przerażeni okropnym wypadkiem.

Poznałem odrazu, komu winien byłem nasze ocalenie. W tyle oddziału wlókł się parobczak, wysłany z osady po dr. Livesey. Spotkał on po drodze żołnierzy straży celnej pod dowództwem naczelnego dozorcy Mr. Dance'a, który, zasłyszawszy coś o podejrzanej łodzi, ukrywającej się w norze Wielorybiej, wybrał się tejże nocy z kilkunastu ludźmi dla zlustrowania okolicy. Chłopiec miał tyle dowcipu, że opowiedziawszy mu o wszystkiem, zabrał go z sobą i przybył nam na odsiecz.

Tej okoliczności zawdzięczaliśmy z matką nasze wybawienie od pewnej śmierci.

Pew umarł już dawno. Co do mojej matki, zanieśliśmy ją do wsi, gdzie przyszła do przytomności.

Tymczasem dozorca udał się pospiesznie do nory Wielorybiej, ale jego ludzie musieli zsiąść z koni i przedzierać się z trudnością poprzez gąszcza w dolinie, prowa-

*) Moneta angielska z wyobrażeniem króla Jerzego.

dząc za uzdy, a czasem nawet podtrzymując swoje konie w ciągłej obawie jakiej zasadzki. Nic więc dziwnego, że gdy przybyli do zatoki, łódź zdążyła już podnieść kotwicę i odbić od brzegu, choć widać ją jeszcze było bardzo blisko. Dance krzyknął, aby się zatrzymali. Jakiś głos odpowiedział mu, radząc usunąć się w cień, jeżeli nie chce dostać kulką w łeb i równocześnie kula świsnęła mu tuż koło ramienia. Niebawem łódź wypłynęła z zatoki na pełne morze i znikła z oczu.

Mister Dance pozostał na brzegu, wedle własnego wyrażenia: „jak ryba, wyrzucona z wody.'' Posłał wprawdzie w tej chwili do B... z ostrzeżeniem o podejrzanym statku, „ale — mówił — na nic się to z pewnością nie zdało. Wymknęli się gracko i już ich nie złapiemy. Rad tylko jestem niezmiernie, — dodał — że zdążyłem na czas popsuć szyki Misterowi Pew,'' gdyż tymczasem opowiedziałem mu naturalnie całą historyę.

Wróciliśmy razem pod „Admirała Benbow'' i zastaliśmy całą gospodę w najokropniejszym stanie. Hultaje w swej wściekłej pogoni za mną i moją matką zerwali nawet ze ściany i rzucili na ziemię nasz stary zegar ścienny, a choć faktycznie nic nie zrabowali prócz sakiewki kapitana i nieco srebra z kredensu, zrozumiałem od pierwszego rzutu oka, żeśmy byli zrujnowani. Mister Dance nie mógł nic zrozumieć z tego wszystkiego.

— Zabrali pieniądze, powiadasz? Więc czegoż u licha szukali jeszcze? Więcej pieniędzy chyba?

— Nie, sir, nie myślę, żeby szukali pieniędzy — odparłem. — Przeciwnie, zdaje mi się, że chodziło im o coś innego i że mam nawet tę rzecz w kieszeni mej kurtki, a mówiąc prawdę, chciałbym ją przechować bezpiecznie.

— Niezawodnie, chłopcze, masz racyę — odparł. Mogę to wziąć do siebie, jeżeli chcesz.

— Myślałem, że może doktor Livesey... — zacząłem.

— Doskonale — przerwał mi wesoło — doskonale, gentleman i sędzia. Ale, dobrze, żeś mi przypomniał — pojadę sam do niego, aby donieść o wszystkiem, jemu, albo Esquirowi Trelawney. Szkoda, że mister Pew umarł trochę przedwcześnie. Niebym go nie żałował, ale wiesz, ludzie tak lubią wygadywać na straż celną Jego Królewskiej Mości, że gotowi nam przypisać śmierć tego niegodziwca. Wiesz, co ci powiem, Hawkins: jeżeli chcesz, wezmę cię z sobą.

Podziękowałem mu serdecznie za tę propozycyę i wróciliśmy do osady, gdzie pozostały konie. Zanim uprzedziłem matkę o moim zamiarze, wszyscy już byli na siodłach.

— Dogger — rzekł Mister Dance — masz dobrego konia, weź tego chłopca poza siebie.

Skoro tylko skoczyłem na siodło Doggera i ująłem się jego pasa, dozorca zakomenderował i cały oddział popędził wyciągniętym kłusem w stronę mieszkania doktora Livesey.

Rozdział VI.

Papiery kapitana.

Jechaliśmy szybko całą drogę, póki nie stanęliśmy przed drzwiami doktora Livesey. Wszystkie okna frontowe były ciemne. Mister Dance kazał mi zejść z konia i zapukać do drzwi. Prawie natychmiast otworzyła nam służąca.

— Czy dr. Livesey w domu? — zapytałem.

— Nie — odparła. — Wrócił do domu około południa, ale pojechał znowu do Hall, gdzie będzie na obiedzie u Esquira Trelawney i zabawi cały wieczór.

— A więc, chłopcy, jedziemy tam — powiedział Mister Dance.

Tym razem, ponieważ odległość była bardzo niewielką, nie skoczyłem już na konia, ale biegłem z boku, trzymając się popręgów, aż do głównej bramy i wzdłuż dalekiej, bezsilnej, usrebrzonej księżycem alei, w której krańcu rysowały się z obu stron biało kontury zabudowań zamkowych na tle cienistych, starych ogrodów. Tutaj Mister Dance zsiadł z konia i biorąc mię za rękę, udał się do zamku, gdzie po krótkiem zameldowaniu wpuszczono go natychmiast.

Służący wprowadził nas przez wyścielony matami korytarz do obszernej biblioteki, pełnej oszklonych szaf z książkami i bielejących na ich szczycie popiersi marmurowych. W głębi, przy wesoło płonącem ognisku, siedzieli z fajką w ręku Esquire Trelawney i doktór Livesey.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć Esquire'a z tak blizka. Był to wysoki mężczyzna, liczący przeszło sześć stóp, tęgi i barczysty, o szerokiej, nieco szorstkiej, ale poczciwej twarzy, ogorzałej i pomarszczonej w długich podróżach. Miał bardzo czarne, gęste brwi i chmurzył je nieustannie, co mu nadawało wyraz nie gniewny wprawdzie, ale może nieco porywczy i wyniosły.

— Witam pana, Mister Dance — rzekł z wielką powagą i łaskawością.

— Dobry wieczór, Dance — odezwał się doktór, kiwając głową.

— A! jak się masz, przyjacielu Jim — dodał. — Cóż cię sprowadza tutaj?

Naczelny dozorca wyprostował się sztywnie i wyrecytował swój raport, jak lekcyą. Obaj gentlemani, pochyliwszy się nieco ku niemu i spoglądając na siebie z podziwem, słuchali z wytężoną uwagą, a zdumienie ich było tak wielkie, że zapomnieli nawet o fajkach. Gdy Mr. Dance opowiedział, jak moja matka wróciła sama do gospody, doktór Livesey uderzył się z zapałem po kolanie, a Esquire krzyknął głośno „brawo!'' i strzaskał swój długi cybuch o kratę kominka.

Nie czekając, aż Mr. Dance skończy mówić, Mr. Trelawney (zapamiętajcie sobie, że było to nazwisko Esquire'a) powstał z miejsca i zaczął chodzić po pokoju, a doktór, jakby chcąc lepiej słyszeć, zdjął upudrowaną perukę, nie zważając, że wygląda bardzo zabawnie ze swoją czarną, gładko ostrzyżoną głową.

Wreszcie Mr. Dance skończył swą opowieść.

— Mister Dance — rzekł Esquire — dzielnieś się pan spisał. A żeś zatratował przypadkiem na śmierć tego starego niegodziwca, uważam to panu za zasługę, sir, tak zupełnie, jakbyś zgniótł zjadliwą stonogę. A ten malec, Hawkins, to widzę, także zuch! Hawkins, zadzwoń, proszę kochanie. Mister Dance nie odmówi zapewne szklanki piwa.

— A zatem, Jim — odezwał się doktór — masz przy sobie tę rzecz, której oni tak gorliwie poszukiwali?

— Oto, sir — rzekłem, podając mu ceratowy pakiecik.

Doktor obejrzał go ciekawie na wszystkie strony i widać było, że palce mu drżą, żeby go natychmiast otworzyć. Ale zamiast tego włożył go spokojnie do kieszeni swego surduta.

— Esquirze Trelawney — powiedział — gdy Dance skończy swe piwo, będzie musiał naturalnie odjechać, aby pełnić dalej służbę Jego Królewskiej Mości. Ale Hawkins'a chciałbym zatrzymać u siebie na noc, a tymczasem, jeżeli pozwolisz, każę tu podać kawał zimnego pasztetu, niech malec przekąsi co na kolacyę.

— Jak sobie życzysz, Livesey — odparł Espuire. — Hawkins zasłużył na coś lepszego, niż zimny pasztet.

Przyniesiono mi więc dużą porcyę pasztetu i nakryto przy małym bocznym stoliku do tej spóźnionej kolacyi, któ-

rę zjadłem z wybornym apetytem, gdyż byłem wygłodzony jak wilk, Mister Dance zaś, po kilku jeszcze uprzejmych komplimentach, wypiwszy piwo, pożegnał się i odjechał.

— A więc, Esquirze — rzekł doktór.

— A więc, Livesey — powtórzył Esquire tym samym tonem.

— Powoli, powoli, od początku — zaśmiał się doktór Livesey. — Musiałeś słyszeć zapewne o tym Flincie?

— Czy słyszałem o nim! — zawołał Esquire. — Czy słyszałem, pytasz! Był to najbardziej krwiożerczy bandyta morski, jaki kiedykolwiek rozbijał po morzu. Sinobrody jest niewinnem niemowlęciem wobec niego! Budził on taką trwogę w Hiszpanach, że powiadam panu, że nieraz dumny byłem z tego, że ten łotr jest Anglikiem. Widziałem sam szczyty jego masztów okrętowych, na moje własne oczy. Było to przy wyspie Trinitad, lecz ten podły tchórz, ta baryła rumu, kapitan hiszpański, na którego okręcie płynąłem, przeląkł się tak dalece, że zawrócił, panie — tak zawrócił i ukrył się w jednym z portów hiszpańskich.

— Słyszałem coś o tem w Anglii — odparł doktór. — Ale główna rzecz jest, czy ten Flint miał pieniądze?

— Pieniądze! — krzyknął Esquire. — Także pytanie! A czegoż ci łotrzy szukają, jeżeli nie pieniędzy. O cóż innego im chodzi, jeżeli nie o pieniądze? Dla czegoż innego narażaliby swoje podłe łby, jeżeli nie dla pieniędzy?!

— O tem się zaraz dowiemy — odpowiedział doktor. — Ale jesteś pan taki nieznośny gorączka i tak ciągle wykrzykujesz, że nie mogę przyjść do słowa. Oto co chciałem wiedzieć. Przypuściwszy, że mam w kieszeni wskazówki, gdzie Flint zakopał swoje skarby, czy można spodziewać się, że skarby te będą istotnie wielkie?

— Czy wielkie, sir! — uniósł się znowu Esquire. Oto, jak wielkie: jeżeli rzeczywiście posiadasz pan wskazówki, o których mówisz, wynajmuję natychmiast własnym kosztem okręt w Bristolu, zabieram ciebie i Hawkinsu'a i wydostanę te skarby, choćbym ich miał szukać cały rok.

— Bardzo dobrze — odparł doktor. — A zatem za twojem łaskawem pozwoleniem, Jim, otworzymy ten pakiet — i położył go przed sobą na stole.

Cerata, w którą pakiet był owinięty, zszytą była szczelnie z boków i doktór musiał wydobyć z futerału z narzędziami chirurgicznemi swoje nożyczki lekarskie, aby przeciąć grube szwy. Pakiet zawierał dwie rzeczy: książkę i zapieczętowany papier.

— Zacznijmy od książki — zauważył doktór.

Esquire i ja patrzyliśmy obaj ciekawie przez ramię doktora, który widząc, że skończyłem jeść, zaprosił mię uprzejmie do głównego stołu, abym mógł wziąć udział w poszukiwaniu.

Na pierwszej stronicy znajdowały się same bazgry, jakie się kreśli od niechcenia w swobodnej chwili dla próby pióra. Jeden z nich oznaczał to samo, co utatuowany napis na ramieniu zmarłego kapitana. Billy Bones i jego urojenia, a dalej: Mr. W. Bones, sternik.

„Ani kropli rumu więcej,

„Z Palm Key dostał tło" — i inne jeszcze gryzmoły, po większej części pojedyńcze słowa, zupełnie nieczytelne. W głowę zachodziłem, kto to „dostał tło" i co „tło" było, co ów ktoś dostał. Chyba nożem w plecy, prawdopodobnie.

— No, z tego nie wieleśmy się jeszcze dowiedzieli — rzekł doktór i przerzucał kartki dalej.

Następne dziesięć czy dwanaście stronic zapełnione były różnemi dziwnemi rachunkami i notatkami, ujęte w dwie szpalty: u początku każdej linii stała data, a u końca jakaś cyfra, wyrażająca pewną daną sumę pieniędzy, tak jak w zwykłych księgach rachunkowych, ale zamiast jakichkolwiek wyjaśnień, przedzielała obie cyfry tylko rozmaita ilość krzyżyków.

Na przykład, 12 sierpnia 1745 należała się komuś wyraźnie suma siedmdziesięciu funtów szterlingów, ale komu i z jakiej racyi, o tem mówiło tylko sześć krzyżyków. Niekiedy, co prawda, dodaną była nazwa miejscowości, np. „niedaleko Caracas," albo określenie szerokości i długości geograficznej: 62°, 17' 20" — 19°, 2', 40".

Rejestr obejmował przeszło dwadzieścia lat, sumy oznaczone w poszczególnych notatkach, rosły w miarę czasu, aż wreszcie — u samego końca, po kilku nieudanych próbach dodawania, stała ogólna suma z następującym podpisem:

„Bones. Jego skarb."

— Ani w ząb nie rozumiem — rzekł doktor Livesey.

— Rzecz jest jasną, jak słońce — zawołał Esquire. To jest księga rachunkowa tego niecnego łotra. Te krzyżyki zastępują nazwiska zatopionych okrętów i zrabowanych miast. Sumy oznaczają część łupu, przypadającą w udziale temu łajdakowi, a gdzie obawiał się jakiego nieporozumienia, tam dodawał, jak widzisz pan, objaśniające wskazówki, na przykład: „niedaleko Caracas," to znaczy, że na tem wybrzeżu zatopionym został i splądrowanym jakiś okręt. Boże, bądź miłościw duszom biedakom, którzy się na nim znajdowali przed laty...

— Racya — odparł doktór. — Oto, co znaczy być podróżnikiem. Racya! A sumy rosną, jak widzimy, razem ze wzrostem jego stanowiska i powodzenia.

Książka nie zawierała już prawie nic więcej, oprócz kilku nazw miejscowości geograficznych, zanotowanych na końcowych białych kartkach — i tabeli monet francuskich, angielskich i hiszpańskich.

— Szczwany lis! zawołał doktór. — Ten by się nie dał wywieść w pole.

Koperta, jak wspomniałem, była opieczętowana w kilku miejscach z pomocą naparstka zamiast pieczęci, może być tego samego naparstka, który znalazłem w kieszeni kapitana. Doktór złamał pieczęcie bardzo starannie i z koperty wypadła mapa jakiejś wyspy, z oznaczeniem szerokości i długości geograficznej, głębokości morza, cieśnin i zatok, nazwami wyżyn i przesmyków, słowem ze wszystkiemi szczegółami żeglarskiemi, z których pomocą możnaby doprowadzić dany okręt szczęśliwie do jej brzegów.

Mogła ona mieć dziewięć mil wzdłuż i pięć wszerz, a z kształtu przypominała jakby tłustego smoka, wspinającego się na tylnych łapach. Na wybrzeżu znajdowały się dwa, wyraźnie zaznaczone, bardzo dogodne, naturalne porty, a w środkowej części wznosiło się wzgórze z nazwą: „Wzgórze Lunety." Były jeszcze inne dodatki, nieco późniejszej daty, a zwłaszcza rzucały się w oczy trzy krzyże, nakreślone czerwonym atramentem, jeden w północnej stronie wyspy, drugi ku południo-zachodowi a przy tym ostatnim, również czerwonym atramentem i bardzo drobnem, ale czytelnem pismem, zupełnie odmiennem od niezgrabnych liter kapitana, stały wypisane następujące słowa:

„Główny skarb tu."

Na odwrotnej stronie ta sama ręka dołączyła dalsze informacye:

„Wysokie drzewo. Stok Wzgórza Lunety aż do punktu N, poczynając od punktu N. N. G."

„Wyspa Szkieletów. G. S. G. przez G."

„Dziesięć stóp."

„Srebro w sztabach znajduje się w północnej kryjówce. Można ją odkryć, przebiegłszy doliną zachodnią dzie-

sięć sążni ku południowi od Czarnej Skały."

„Broń łatwo znaleźć w piasku na wzgórzu, punkt N. przylądku północnego, w miejscu N. i ćwierć G."

J. F.

To było wszystko. Ale pomimo całej swej lakoniczności i jakkolwiek zgoła niezrozumiałe dla mnie, informacye te wprawiły Esquire'a i doktora Livesey w prawdziwy zachwyt.

— Livesey — mówił Esquire — porzucisz natychmiast swoję nędzną lekarską praktykę. Zaraz jutro jadę do Bristolu. Za trzy tygodnie, co ja mówię trzy tygodnie, za dwa tygodnie, w dziesięć dni, będziemy mieć najlepszy okręt, sir, i najdobrańszą załogę w całej Anglii. Hawkins pojedzie z nami jako chłopiec okrętowy. Pyszny z ciebie będzie chłopiec okrętowy, Hawkins! Ty, Livesey, w charakterze doktora okrętowego, a ja, jako admirał. Weźmiemy z sobą Tedrutha, Joyce'a i Hunter'a. Pomyślne wiatry nie zrobią nam zawodu i po szczęśliwej i krótkiej podróży bez najmniejszej trudności znajdziemy wyspę i pieniądze. Pieniędzy będzie w bród, będziemy się w nich tarzać, jak w piasku, poprostu wyrzucać „za okno!"

— Trelawney — odezwał się poważnie doktor. — Pojadę z tobą i będę służył rękojmią całemu przedsięwzięciu i Jim także. Jednego tylko człowieka się obawiam.

— A któż to taki? — zawołał Esquire. — Nazwij tego huncwota, sir.

— Ciebie — odparł doktor — gdyż nie potrafisz utrzymać języka za zębami. Nie my jedni tylko wiemy o tym papierze. Ci hultaje, którzy napadli tej nocy na gospodę, śmiałe i gotowe na wszystko zuchy, jak można przypuszczać, ich godni kamraci z łodzi i ci, którzy niechybnie włóczą się tu niedaleko, wszyscy oni, od pierwszego do ostatniego, przysięgli sobie, choćby za cenę życia wydostać te skarby. Dlatego nie powinniśmy nigdzie wychodzić sami, póki nie wypłyniemy na pełne morze. Jim i ja będziemy się trzymać razem tymczasem. Ty, jadąc do Bristolu, weź ze sobą Joyce'a i Huntera a przedewszystkiem, ani pary z ust o tem, cośmy znaleźli.

— Livesey — odparł Esquire. — Ty masz zawsze słuszność! Będę milczał jak grób.

CZĘŚĆ DRUGA.

Kucharz okrętowy.

Rozdział VII.

Jadę do Bristolu.

Przygotowania do podróży zajęły znacznie więcej czasu, aniżeli Esquire przypuszczał, ani też żaden z naszych pierwotnych planów, nawet zamiar doktora Livesey zatrzymania mię przy sobie, nie mógł zostać wykonanym, jak liczyliśmy. Doktór musiał jechać do Londynu, aby wynaleźć lekarza, któremu by mógł polecić swoją praktykę przez czas swej nieobecności. Esquire zajęty był w Bristolu, a ja pozostałem sam w Hall pod opieką starego dojeżdżacza, Tudreth'a, prawie więzień, ale pełen rozkosznych marzeń o dziwnej wyspie i dziwniejszych jeszcze przygodach na lądzie i na morzu. Godzinami całemi rozważałem w myśli tę mapę, której najdrobniejszy szczegół doskonale pamiętałem. Siedząc przy kominku w pokoju gospodyni, przybijałem do tej wyspy w wyobraźni z każdej możliwej strony. Badałem każdy akr jej powierzchni. Wdrapywałem się tysiąc razy na wysokie wzgórze, które oni nazwali Wzgórzem Lunety, i z którego szczytu napawałem się całą panoramą najcudowniejszych i najbardziej urozmaiconych widoków. Czasem wyspa roiła się od dzikich, z którymi walczyliśmy; czasem pełną była drapieżnych zwierząt, które rzucały się na nas z rykiem. Ale cała potęga mojej wyobraźni niezdolną była wymyślić przygód tak niezwykłych i tragicznych, jakie nas rzeczywiście spotkały.

Tak mijały tygodnie, gdy pewnego pięknego poranku nadszedł list, zaadresowany na imię doktora Livesey'a, ale z tym dopiskiem: „Niech otworzy — w razie nieobecności doktora — Tom Tedruth albo młody Hawkins". Usłuchawszy tego polecenia, znaleźliśmy albo raczej, ja znalazłem, gdyż Tedruth czytał tylko pismo drukowane, następujące ważne wiadomości:

„Gospoda pod kotwicą. 1 marca 17... Kochany Livesey'u! Ponieważ nie wiem, gdzie się obecnie znajdujesz, w Hall, czy w Londynie, wysyłam ten list w dwóch egzemplarzach i w oba miejsca.

Okręt nabyty i wyekwipowany. Stoi na kotwicy, gotów do drogi. Trudno sobie wyobrazić piękniejszy statek, dziecko mogłoby nim sterować. Dwieście tonn objętości. Imię: Hispaniola.

„Wyszukałem go z pomocą mego starego druha, Blaudly'ego, który okazał się w tej sprawie prawdziwie nieocenionym. Kochany chłopiec literalnie oddał się cały na moje usługi, podobnie, jak zresztą, wszyscy tu w Bristolu, gdy dowiedzieli się, w jakim celu jedziemy, to jest po skarby."

— Tedruth — rzekłem, przerywając czytanie listu. — Doktor Livesey będzie z pewnością bardzo niezadowolony. — Esquire wypaplał się w końcu, mimo obietnicy milczenia.

— Ciekaw jestem, ktoby mu zabronił? — mruknął dojeżdżacz.

— Ładnieby było, gdyby Esquire nie śmiał ust otworzyć dlatego, że to się nie podoba doktorowiLivesey.

Widząc, że nie przekonam starego, dałem pokój wszelkim komentarzom i czytałem dalej:

— „Blaudly sam wyszukał Hispaniolę i dzięki swej przedziwnej zręczności nabył ją za bezcen. A jednak są ludzie w Bristolu, którzy mi zarzucają potworne rzeczy. Mówią, że ten poczciwiec sprzedałby rodzonego ojca za pieniądze, że Hispaniola była jego własnością i że odprzedając mi ją, zdarł mię haniebnie. Ma się rozumieć, są to najjawniejsze kalumnie. Ale żaden z tych potwarców nie śmie zaprzeczać wysokich zalet okrętu.

„Jak dotąd wszystko idzie jak po maśle. Rzemieślnicy, co prawda, cieśle i jak ich tam — marudzili trochę w robocie, ale czas temu zaradził. O co się niepokoiłem, to o załogę.

„Chciałem mieć przynajmniej ze dwa dziesiątki tęgich zuchów na wypadek spotkania z dzikimi na wyspie, lub z korsarzami, albo tymi przeklętymi Francuzami na morzu. Namordowałem się wszakże jak potępieniec, zanim zebrałem ich z pół tuzina, póki niezwykle szczęśliwy traf nie zetknął mię z człowiekiem, którego właśnie potrzebowałem.

„Stałem na pokładzie, gdy, — zupełnie przypadkowo — zawiązałem z nim rozmowę. Powiedział mi, że był starym żeglarzem, trzymał obecnie oberżę dla majtków w porcie, znał wszystkich marynarzy w Bristolu, a ponieważ długi pobyt na lądzie szkodzi jego zdrowiu, chciałby dostać jaką dobrą posadę kucharza na którym statku, aby się znowu znaleźć na morzu. Ot, i teraz przywlókł się tutaj, aby tylko odetchnąć słonem powietrzem morskiem

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z bieżącej chwili.

Nowa walka kulturna.

XV.

Proces księdza proboszcza Jana Olszewskiego z Osieka

toczył się w piątek, dnia 20-go b. m. przed izbą karną w Starogardzie. Na ławie oskarżonych zasiedli również: *organista p. Dominik Czaplewski z Osieka, żona posiedziciela p. Teofila Radzimska z Brzeźna i żona deputatnika p. Anna Schonschor z Brzeźna.* Wszyscy są oskarżeni o nawoływanie do strejku szkólnego, ks. prob. Olszewski oskarżony nadto o to, że na ambonie odczytał kilka ustępów z okólnika księży dekanatu lubawskiego i w kilku słowach zachęcił parafian do wychowywania dzieci w duchu religijno-katolickim. Na termin zawezwano cały szereg świadków, a mianowicie landrata Hagen'a i powiatowego inspektora szkólnego, obydwóch ze Starogardu, 4 nauczycieli, wójta, gospodynią Basendowską i 15-letnie dziewczę Steiner z Osieka i świadków ze wsi okolicznych.

Akt oskarżenia zarzuca oskarżonym, że w listopadzie r. z., gdy strejk szkólny miał swój początek, rozdawali rodzicom i dzieciom szkólnym karteczki strejkowe wystósowane do nauczycieli i tym sposobem przyczyniali się do szerzenia strejku szkólnego, który jak powiada oskarżenie, doprowadził nawet do rozruchów i gwałtów publicznych. Księdza proboszcza Olszewskiego nazywa prokurator najniebezpieczniejszym agitatorem wielkopolskim i pomawia go o to, że on zorganizował cały strejk szkólny w swojej parafii.

Jako dowód swych twierdzeń przytacza prokurator, że za staraniem ks. proboszcza Olszewskiego założono w Osieku polski Bank Ludowy, dalej interes konsumowy i towarzystwo flisaków (?). Również i żywą działalność tamtejszego Towarzystwa Ludowego przypisać należy ks. prob. Olszewskiemu. Wszystko to ma być niby dowodem, że ks. Olszewski jest jednym z najczynniejszych pracowników polskich i uważany jako największy działacz polskiej pracy narodowej w Osieku i okolicy, z tego powodu też, powiada prokurator, powstanie i rozszerzenie strejku szkólnego w Osieku i okolicy należy przypisać ks. proboszczowi Olszewskiemu.



Ks. proboszcz Jan Olszewski z Osieka.
(Klisza sporządzona według fotografii z lat młodszych).



Dominik Czaplewski, organista z Osieka.

Ks. prob. O. przyznaje, że organiście swemu polecił napisać karteczki strejkowe i że kilka z nich rozdał pomiędzy rodziców. Stwierdził jednak że, że rodzice sami go o to prosili, uczynił zatem tylko zadość ich żądaniu. *Wyraża przytem zdziwienie, co za związek mogą mieć sprawy zarobkowe, jak Bank Ludowy i Tow. flisaków ze strejkiem szkólnym.*

Oskarżenie zarzuca dalej ks. Olszewskiemu, że z kazalnicy wzywał rodziców do popierania strejku szkólnego. Oskarżony zaprzecza, jakoby mówił o strejku szkólnym, wzywał jedynie rodziców do wychowania dzieci w duchu religijnym i zaznaczył przytem, że dziecko, mające przejąć się zasadami wiary świętej, winno pobierać naukę religii w języku ojczystym. Uczynił zatem tylko to, co mu jego obowiązek jako duszpasterzowi nakazywał.

Następują przesłuchy świadków, których zaprzysiężono.

Landrat Hagen ze Starogardu zeznaje, że ksiądz prob. Olszewski stoi na czele całego ruchu polskiego w Osieku i okolicy i dla tego uważać go musi jako niebezpiecznego działacza „wielkopolskiej agitacyi."

Ks. prob. Olszewski zapytuje się świadka, co on uważa za „wielkopolską agitacyę."

Na to odpowiada przewodniczący sądu, p. dr. Hartwig z Gdańska, że świadek na to pytanie odpowiadać nie potrzebuje, bo każde dziecko wie, co oznacza „wielkopolska agitacya."

Wójt z Wildungen (?) zeznaje, że księdza proboszcza Olszewskiego jako agitatora polskiego uznawać nie może, ale przypuszcza, iż on nim jest, ponieważ w jego całej parafii wybuchł strejk szkolny. Sam nic nie wie, jakoby ks. O. nawoływał z ambony do popierania strejku szkólnego, ale mu o tem różni ludzie opowiadali.

Nauczyciel Dziarnowski z Kornfelde (?) zeznaje, że ks. prob. O. wzywał z kazalnicy do żądania polskiej nauki religii a mianowicie powiedział, iż dla Niemców ma być niemiecka, a dla Polaków polska nauka religii. Na pytanie przewodniczącego odpowiada D., że po polsku nie mówi, ale rozumie. Karteczki strejkowe przysłali mu rodzice poczta. W jego klasie strejkowało około 150 dzieci.

W tym mniej więcej samym sensie zeznają nauczyciele Windorpski z Brzeźna i Pauly z Wycinków.

Nauczyciel Jeschke z Augustowa zeznaje, że po polsku mówić nie umie, ale mniejwięcej rozumie. Powiada on, że nie widział, jak ks. prob. O. odczytywał z ambony odezwę księży dekanatu lubawskiego, słyszał wszakże, gdy wzywał do wychowywania dzieci w duchu katolickim i pielęgnowania polskiej nauki religii.

Niektórzy nauczyciele zeznali, że ks. prob. O. odczytał z ambony kilka ustępów odezwy księży dekanatu lubawskiego, czemu ks. prob. O wcale nie przeczył, oświadczając, że przeczytał tylko te ustępy, które dotyczyły wychowania religijnego dzieci. Jak wiadomo, księży dekanatu lubawskiego skazano za odczytanie tej odezwy każdego na miesiąc więzienia).

Gospodyni Basendowska zeznaje, że ks. prob. O. wzywał z ambony rodziców do żądania polskiej nauki religii.

Walburga Steiner z Osieka, mieszkająca u nauczyciela Nelkego, 14-letnia dziewczynka, niezaprzysiężona, zeznaje, że słyszała, gdy ks. prob. O. mówił z ambony, co następuje: „Dużo ludzi występuje przeciwko mowie polskiej, na tych nie zważajcie, ale słuchajcie swych rodziców.“

Ks. prob. Olszewski przeczy stanowczo, jakoby słów tych użył i stwierdza, że **Steinerówna nie zna wcale języka polskiego.**

Mimo to sąd uznał zeznanie St. jako prawdziwe.

Jako rzeczoznawcę i świadka słuchano również powiatowego inspektora szkólnego Rieve'go ze Starogardu.

Zabiera głos prokurator i w dłuższej przemowie stara się wykazać winę wszystkich oskarżonych, szczególnie ks. proboszcza Olszewskiego. W końcu wnosi dla ks. prob. Olszewskiego o 6 miesięcy więzienia za popieranie strejku szkolnego i 6 miesięcy za nadużycie ambony, dla organisty Czaplewskiego, który rozdawał karteczki strejkowe, o 4 tygodnie a dla Radzimskiej i Schonschorowej, dla każdej o tydzień więzienia.

Ksiądz proboszcz Olszewski w odpowiedzi zaznaczył, *że karteczki strejkowe wypisał i rozdał na wyraźne życzenie i żądanie rodziców i że kazania jego odnosiły się jedynie do wychowania religijnego dzieci, do czego jako duszpasterz był zobowiązany*

Sąd udaje się na naradę i po godzinie przeszło wraca. Przewodniczący ogłasza wyrok następujący:

Sąd uznaje księdza proboszcza Olszewskiego z Osieka jako nadzwyczaj niebezpiecznego dla państwa pruskiego, który czynny bierze udział w życiu polsko-narodowem, dążącem do odbudowania Polski i dla tego skazuje go na rok więzienia za to, że z ambony wzywał rodziców do żądania polskiej nauki religii i na 9 miesięcy więzienia za to, że popierał strejk szkolny razem, po złączeniu obudwóch kar w jedną,

na półtora roku więzienia.

Sąd uchwała przytem natychmiastowe uwięzienie księdza proboszcza Olszewskiego, ażeby nie uciekł.

Organistę p. Czaplewskiego skazano na 6 tygodni więzienia.

Pp. Radzimską i Schonschorową uwolniono od winy i kary.

Po ogłoszenu wyroku przybył dozorca więzienny, który kędza proboszcza Olszewskiego tylnemi drzwiami wychodzącemi ze sali sądowej zaprowadził natychmiast do więzienia.

Był to widok rozrzewniający; łzy cisnęły się słuchaczom do òcz...

Najsurowszy to wyrok z powodu tak zwanego „strejku szkolnego“. Niestety! wyroków sądowych krytykować nie wolno, ale wolno nam wyrazić najgłębsze współczucie z powodu tak surowego wyroku, a zarazem nadzieję, że wyższy sąd, do którego niewątpliwie odwoła się ksiądz Olszewski, zmieni wyrok sądu w Starogardzie.

Uroczysta konsekracya
Kanonika Ks Dra. Klundra

na biskupa sufragana dyecezyi chełmińskiej odbyła się w Pelplinie w niedzielę 15-go b. m.

O godzinie 9 z rana przy uroczystem dzwonieniu we wszystkie dzwony przybyli w powozach przed katedrę najprzód ks. biskup dr. Augustyn Rosentreter w towarzystwie księdza biskupa sufragana dr. Hermanna z Fromborka, w drugim powozie nowo mianowany biskup-sufragan ks. dr. Klunder z ks. biskupem dr. Likowskim z Poznania. Po krótkiem powitaniu wstąpili przez główną bramę do tumu, gdzie ich przyjęło całe duchowieństwo i w procesyi wprowadziło do chóru t. j. przed wielki oltarz. W procesyi tej brali udział wszyscy kanonicy, księża miejscowi i kilku zamiejscowych.

Po procesyi nastąpiło przywdziewanie szat pontyfikalnych przez konsekrującego ks. biskupa, a przed ołtarzem przyrządzonym po stronie Epistoły, ubierał się nowy biskup sufragan i przystąpił potem z asystującymi biskupami, przybranymi w uroczystościowe kapy i infuły do konsekrującego arcypasterza, który przed głównym ołtarzem zajął miejsce.

Notaryusz papieski ks. kanonik Schwanitz odczytał pismo apostolskie *(breve)*, w którem Ojciec św. Pius X potwierdza wybór ks. kan. dr. Klundra na biskupa-sufragana dyecezyi chełmińskiej. Po odczytaniu *breve* złożył nowy sufragan przysięgę wierności Papieżowi i Kościołowi i wyznanie wiary katolickiej, do czego się zo-



Ks. Dr. Klunder,
biskup-sufragan dyecezyi chełmińskiej.

bowiązał w formie pytania i odpowiedzi.

Po tym obrzędzie rozpoczęła się msza św. Podczas gdy konsekrujący biskup przystąpił do głównego ołtarza i go okadzał, wrócił wybrany z asystą swoją do swego ołtarza, zdjął kapę i przywdział szaty do mszy św. Po odmówieniu modlitw mszalnych usiadł biskup konsekrujący na siedzeniu, postawionem na najwyższym stopniu ołtarza, przemówił do wybrańca, który przed nim stanął, wezwał obecnych do modlitwy, ukląkł potem sam do modlitwy, podczas gdy biskup-nominat po jego stronie padł twarzą na ziemię i podczas odśpiewania litanii do wszystkich Świętych krzyżem leżał. Po udzieleniu szczególnego błogosławieństwa wybrańcowi nastąpił właściwy akt konsekracyi.

Nowy ks. biskup sufragan ukląkł

przed konsekrującym biskupem ks. Augustynem, który położył mu otwartą księgę Ewangelii na plecy, a potem wspólnie z asystującymi biskupami położył na niego ręce, mówiąc: „Weźmij Ducha Świętego''. Podczas śpiewu „Veni Creator Spiritus'' namaścił ks. konsekrator głowę przed nim klęczącego ks. biskupa dr. Klundra chryzmem świętem, poczem nastąpiło namaszczanie rąk i podanie pastorału i pierścienia, wreszcie ks. sufragan wrócił do swego ołtarza. Po odśpiewaniu „Credo'' złożył nowy ks. biskup-sufragan ks. konsekratorowi dary: dwie świece, dwa chleby i dwie baryłki wina.

Odtąd odprawiali mszę św. obydwaj, konsekrator i konsekrowany, przy tym samym ołtarzu; pierwszy stał w środku, nowo konsekrowany po stronie Epistoły.

Po mszy św. podał ksiądz konsekrant nowemu ks. sufraganowi mitrę (infułę) i rękawiczki. Z kolei nastąpiła intronizacya; nowo wybrany ks. sufragan zasiadł na tronie biskupim. Podczas odśpiewania dziękczynnego „Te Deum'' i dzwonienia we wszystkie dzwony kroczył ks. biskup sufragan Klunder w asystencyi ks. ks. biskupów dr. Likowskiego i dr. Hermanna, przez kościół, udzielając zgromadzonemu ludowi, kornie chylącemu swe czoła, błogosławieństwa. Wróciwszy przed ołtarz oddał ks. biskupowi konsekratorowi trzykrotny pokłon. Na tem skończyła się wspaniała uroczystość konsekracyi. Po zdjęciu szat uroczystościowych opuścili ks. ks. biskupi wielki ołtarz, udając się, poprzedzani przez orszak, jak wyżej, ku bramie tumskiej. Tu pożegnawszy orszak, błogosławili raz jeszcze ludowi i opuścili świątynię.

Chór śpiewaków gimnazyalnych, dyrygowany przez ks. Lewandowskiego śpiewał podczas uroczystości i wywiązał się ze swego zadania znakomicie.

Parafia w Toruniu, w której ks. dr. Klunder wypełniał przez długie lata obowiązki duszpasterskie, wysłała dla złożenia życzeń w tak uroczystym dniu swojemu byłemu proboszczowi, osobną delegacyę.

Ponieważ pogoda sprzyjała, ludu z bliska i dalszych stron zebrało się bardzo dużo. Wielka katedra była po brzegi napełniona, a zwłaszcza przed głównym ołtarzem panował wielki tłok.

* * *

Ks. dr. Jakób Klunder urodził się dnia 23 lipca 1849 r. w Koślince pod Tucholą. Studya gimnazyalne odbywał aż do roku 1871, poczem wstąpił do seminaryum duchownego w Pelplinie. Stąd udał się na dalsze studya do Rzymu, gdzie otrzymał tytuł doktora. Po powrocie do dyecezyi w r. 1876, był około pół roku kapłanem domowym u p. E. Czarlińskiego w Brąchnówku pod Chełmżą. Następnie z powodu walki kulturnej udał się do dyecezyi augsburskiej, w Bawaryi, gdzie przebywał nieomal 7 lat jako wikary i zaskarbił sobie szacunek u parafian. Po swym drugim powrocie do dyecezyi chełmińskiej został ustanowiony wikarym w Pucku, a następnie w Niborku na Mazurach. W r. 1889 mianowany został proboszczem a potem dziekanem przy kościele Panny Maryi w Toruniu. Przy końcu r. 1905 przeniósł się jako kanonik do Pelplina, obecnie zaś objął godność biskupa-sufragana dyecezyi chełmińskiej, którą poprzednik jego, śp. ks. biskup-sufragan Jan Trepnau, tak krótko, gdyż tylko przez pół roku dzierżył. (Konsekracya nieboszczyka odbyła się dnia 10-go grudnia 1905 r., śmierć zaś nastąpiła dnia 16 czerwca 1906 r.)

Nowemu księciu Kościoła katolickiego, będącemu zarazem rodakiem naszym, zasyłamy życzenia, ażeby mu Pan Bóg pozwolił pracować w jak najdłuższe lata na chwałę Jego, a na pożytek wiernych w dyecezyi.

Eksportacya zwłok i pogrzeb Ks. Biskupa Andrzejewicza.

W starożytnym grodzie Lecha dnia 18-go b. m. odbyła się o godzinie pół do 6-tej po południu eksportacya zwłok śp. ks. Biskupa Andrzejewicza z dworca gnieźnieńskiego do katedry. Już przed godziną 5-tą zaczęły się zbierać tłumy wiernych, by oddać ostatnią przysługę swemu ukochanemu pasterzowi, którego Bóg jak żołnierza na posterunku, powołał do swej chwały.

W szeregach ustawiły się gnieźnieńskie towarzystwa: Bractwo strzeleckie, Stary i Młody Przemysł, Towarzystwa Kupców, Samopomocy naukowej żeńskie i męskie, Młodzieży kupieckiej, Sokół, Koło śpiewackie, Czeladzi katolickiej, Robotników i inne, dalej bractwa i cechy ze swymi sztandarami, dzieci ochronki, których śp. Biskup Andrzejewicz był specyalnym opiekunem.

Pochód ruszył krótko po godzinie pół do 6-tej, gdy ciało złożono na karawanie ciągnionym przez 4 konie. Na czele kroczyły długie szeregi towarzystw, bractwa i cechy ze świecami zapalonemi po bokach, następnie blisko dwustu duchownych z całej archidyecezyi, z prowadzącym kondukt żałobny Najprzewielebniejszym ks. Biskupem Likowskim w asystencyi ks. prałata Łukomskiego z Koźmina i członków obu kapituł metropolitalnych, poznańskiej i gnieźnieńskiej na czele. Za karawanem, obok którego jako straż honorowa kroczyła gnieźnieńska sodalicya, postępowała w smutku pogrążona rodzina zmarłego, dalej tłumy wiernych. Ciało starca biskupa prowadzono ul. Kolejową, Lipową, Fryderykowską, przez Rynek, Tumską do ukochanej jego katedry, owej Macierzy kościołów naszych — z dalekiej drogi, w którą się śp. ks. Biskup wybrał, by spełnić swe obowiązki. Kondukt żałobny tak był długi, że czoło jego dochodziło do katedry, a koniec wkraczał dopiero na Rynek.

Gdy karawan stanął przed bramą katedry, wzięło trumnę metalową ośmiu księży na swe barki i poniosło przed wielki ołtarz, gdzie ją złożono na katafalku. Po odśpiewaniu pieśni żałobnych przez zastęp duchowieństwa wstąpił na kazalnicę ks. kanonik Goebel i przemówił w wzniosłych słowach do licznie zgromadzonych wiernych.

Wspomniawszy o tem, że zmarły Biskup legł, jak żołnierz waleczny na posterunku — jeszcze w sobotę udzielił w Zabartowie 420 osobom sakramentu św. bierzmowania — zwrócił się do leżącego w trumnie, witając Go w murach katedry, powracającego z dalekiej drogi, imieniem kapituły. Następnie skreślił mówca krótką charakterystykę zmarłego, podkreślając bezustanną, cichą jego pracę, której oddawał się z zamiłowaniem od ławy gimnazyalnej aż do grobu. Wskazywał na to jakie uczucia umiał Zmarły sobie zjednać wśród swych uczniów na wielce odpowiedzialnem stanowisku profesora seminaryum duchownego w Gnieźnie i wyraził Mu, jako jeden z Jego uczniów po raz ostatni swą wdzięczność. Zmarły bowiem potrafił przelewać na swych wychowańców swe własne cnoty, z których najważniejszą było poświęcenie się dla dobra ogółu.

Dalej witał mówca Zmarłego w imieniu obywatelstwa grodu Lecha, które On za życia wspierał na każdym kroku, pracując gorliwie w towarzystwach tak dobroczynnych jak przemysłowych. Witał Go dalej w imieniu ubóstwa gnieźnieńskiego, które ze

łzą w oku stoi nad trumną, pytając się, któż zastąpi śp. Biskupa, któż obejmie po nim spuściznę dbania o los sierót? Witał Go w imieniu społeczeństwa całego, wśród którego stał jak dąb silny, wreszcie w imieniu prastarej katedry, którą tak ukochał. Wzniosłą swą przemowę zakończył prośbą, by Zmarły wstawił się przed tronem Najwyższego za biednym ludem polskim, którego był wiernym stróżem, by prosił, aby ta świątynia, w której spoczną zwłoki Jego, nigdy nic nie straciła ze swej świetności.

Na odśpiewaniu przez duchowieństwo i lud pieśni „Witaj Królowo'' za„Cecylia'' z Mroczy. Mowę żałobną wygłosił ks. Gryglewicz, proboszcz ze Slesina. Po odprawionym kondukcie nastąpiła natychmiast eksportacya do Mroczy na dworzec kolei żelaznej. Przez wieś eksportował ks. dziekan Śmigielski z Runowa. Około godz. 10 i pół stanął pochód żałobny w Mroczy. Przez miasto aż na dworzec eksportował ks. dziekan Gidaszewski z Mroczy. Ulice były przyozdobione girlandami, z bardzo wielu domów powiewały żałobne chorągwie, ulice były wysypane kwiatami.

O godzinie 12 i pół stanął pociąg w Nakle. Przy wagonie, mieszczącym w sobie trumnę ze zwłokami śp. ks. Biskupa ustawiła się straż honorowa aż do odejścia pociągu o godz. 2. Na stacyach w Keyni, Janówcu, i Łopiennie stawiła się liczna publiczność z chorągwiami i odśpiewała podczas przystanku żałobną pieśń i modliła się za duszę dostojnego nieboszczyka.



Kościół katedralny w Gnieźnie.

kończyły się uroczystości żałobne w dniu eksportacyi.

* * *

Eksporta zwłok śp. ks. Biskupa Andrzejewicza z probostwa w Zabartowie do tamteszego kościoła odbyła się we wtorek dnia 17-go b. m. o godzinie 6-tej wieczorem. Eksportował miejscowy ks. proboszcz Flach w towarzystwie siedmiu kapłanów, którzy po ustawieniu trumny na katafalku odprawili nieszpory.

Nazajutrz w środę o godz. 7 rano rozpoczęły się wigilie, a po nich odprawił mszę św. ks. prob. Flach. Podczas mszy św. śpiewało Tow. śpiewaków

* * *

Na uroczystości pogrzebowej dnia 20-go b. m. katedra zapełniła się wiernymi. W stalach i obok zwłok zajęli miejsce przedstawiciele wszelkich warstw obywatelstwa. Z posłów naszych przybyli ks. prałat Stychel i Leon Grabski.

Uroczystą mszę św. żałobną z wielką asystą odprawił Najprzewielebniejszy ksiądz administrator biskup dr. Likowski, przyczem wygłosił piękną mowę żałobną kaznodzieja katedralny ksiądz kanonik i regens seminaryum gnieźnieńskiego Kloske. Wspomniał, jak ogromną stratę ponosi katedra, ta matka wszystkich kościołów dyecezyi gnieźnieńskiej; zaznaczył dalej, jak wiernym synem był Kościoła i Ojczyzny ś. p. ks. Antoni.

W uroczystości żałobnej wzięło udział blisko 200 kapłanów naszych dyecezyi; z kapituły poznańskiej byli obecni: ks. oficyał i kanonik Echaust, ks. kanonik Dalbor i ks. kanonik Weimann, oraz liczne bractwa i tłumy ludu.

Zwłoki ś. p. ks. Biskupa Antoniego Andrzejewicza złożono do grobów katedralnych.

Nad trumną śp. Biskupa Antoniego Andrzejewicza!

Prastary dzwon,
Ogłasza zgon.....
Gdyż śmierć ze życia tego
Do wiecznych bram,
Zabrała nam
Biskupa Antoniego!

Jak mężnie biegł,
Tak cicho legł
Po pracy znojnej, błogiej —
Którą swe dni,
W kościoła czci,
Łożył — ojczyzny drogiej!

On wielki mąż,
Pracował wciąż
Dla ludu oddanego —
Strzegł Pańskich dróg;
Dla tego Bóg,
Nagrodzi Duszę Jego!

On Pasterz był,
Co zdrowia, sił
Nie szczędził wiernym Twoim —
Więc próźb tych głos,
O szczęsny los;
Wznosim za Ojcem swoim!

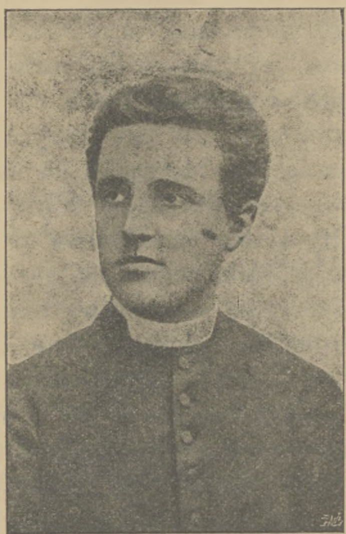
Wznieś Bożą dłoń,
Uwieńcz Mu skroń;
Niech wejdzie w nieba blaski...
A dziatkom tu,
Do końca tchu;
Dodaj sił, męztwa, łaski!

B. Laurentowski,
organista.

Poniec, 20. IX. 07.

Nowe dzieło Ks. Wawrzyńca Perosiego.

Słynny kompozytor włoski, ksiądz Wawrzyniec Perosi z Rzymu, dyrektor kapeli sykstyńskiej, zajęty jest obecnie kompozycyą, którą nazwał „Kantatą duszy.“ Składa się ona z jednej części, a słowa tekstu ułożył sam z wierszy Pisma św. pod głos mezzosopranowy i chóry, z towarzyszeniem orkiestry. Mistyczny pomysł „Kantaty“ zaleca się poezyą. Dusza, czując zbliżającą się chwilę wyzwolenia z więzów cielesnych, zwraca się do Boga z modlitwą. Chór intonuje *Miserere*, polecając duszę Bogu. Ta zaś wznosi ku niebu błagalny śpiew: „*Libera me Domine de morte aeterna*“



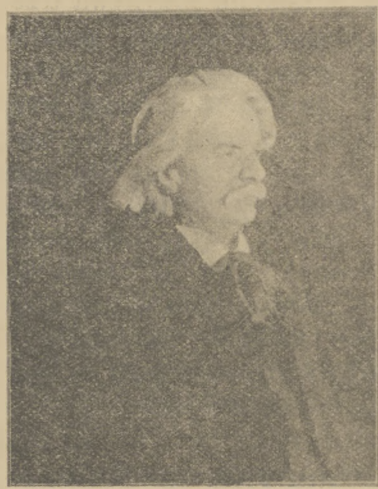
Ks. Wawrzyniec Perosi.

(Uwolnij mnie, Panie, od śmierci wiecznej), poczem orkiestra maluje konanie ciała. Następujący chór śpiewa Litanię do wszystkich świętych. Głos duszy gaśnie powoli, kończąc się z ostateczną chwilą śmierci, jaką się kończy ustęp orkiestralny. „Kantata“ ma być wykonaną po raz pierwszy w Rzymie przez śpiewaków kaplicy sykstyńskiej.

† Edward Grieg.

Umarł jeden z najoryginalniejszych kompozytorów współczesnych, człowiek, którego twórczość płynęła wprost z duszy i do duszy mówiła — Edward Grieg.

Z pośród muzyków norweskich żaden nie doczekał się tak wielkiej popularności, jak on. Bo żaden z nich nie zdołał stworzyć muzyki tak odrębnie narodowej. Nie znaczy to, by on pierwszy czerpać zaczął z motywów swego ludu. Ale on pierwszy odgadł motywów tych duszę, nie obrabiał ich sucho w kontrapuntycznych kombinacyach, lecz, oparłszy się o muzyczną kulturę europejską, przetwarzał je w charakterze ich, w ich nastroju, który tylko prawdziwy artysta umie odczuć intuicyą.



† Edward Grieg.

I stąd lud norweski, przynajmniej w bardziej wykształconych swych przedstawicielach, stąd też inne ludy świata odczuwają, iż z muzyki zmarłego kompozytora wieje na nie jakiś czar odrębny, świeża, wielka poezya, odgłos bezbrzeżnych tęsknot skandynawskich, wspomnienie dzikich krajobrazów, wściekłych burz morskich, rozbijających spienione fale o fiordy nadbrzeżne, to znowu cisz wielkich i przedświtowych zamyśleń, jak np. w znanej bardzo suicie, „Peer-Gynt.“

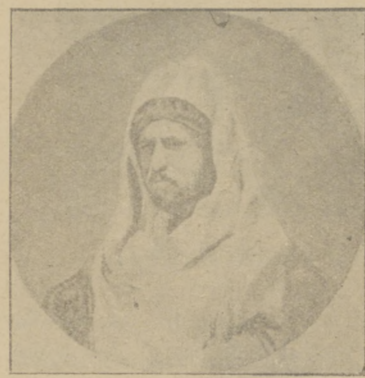
Edward Hagerüf Grieg urodził się 15-go czerwca 1843 roku w Bergen. Kształcił się w konserwatoryum w Lipsku, potem w Kopenhadze (u Gadego), później we Włoszech. Szybko zyskał sobie rozgłos już pierwszemi większemi kompozycyami swemi (znane sonaty skrzypcowe). Następne utwory powiększały sławę. Dziś dzieła Griega weszły do programu wszystkich instytucyi muzycznych w Europie. Popularność jego jest tak wielka, iż niektórzy nazywają go „Chopinem Północy.“ W tytule tym tkwi widoczna przesada, ale pewne pokrewieństwo nastrojów Griegowskich z niektóremi kompozycyami Chopina zaprzeczyć się nie da.

Mulej Hafid.

W osobie Mulej-Hafida, świeżo ogłoszonego w Marakeszu sultanem, Maroko zyskało jeszcze jednego władzcę. Pierwszym jest uznany przez mocarstwa syn i następca byłego sultana Mulej-Hasana, Abd-el-Azis, przy którym jednak od pewnego czasu pozostał tylko cień władzy. Drugim — rodzony brat sultana Mulej-Mohamed, pretendent do korony a faktyczny władzca zachodnich prowincyi Maroka. Trzecim wreszcie — obwołany świeżo przez kaidów południowych sultanem przyrodni brat Abd-el-Azisa, Mulej-Hafid.

Oprócz tych trzech władzców, opierających swe prawa do władzy na płynącej w ich żyłach krwi królewskiej, istnieje jeszcze kilku potężnych szeików, których władza opiera się już tylko na prawie pięści. Do tych należą: Ma-el-Ajmin, znany wódz „niebieskich“ koczowników Sahary, Bu-Amara, grasujący w prowincyi Muluja, oraz głośny Rajsuli — kolejno to herszt zbójców, to przestrzegający bezpieczeństwa publicznego stróż prawa.

Świeżo kreowany sultan Mulej



Mulej Hafid.

Hafid liczy lat 32. Jego smagła twarz o wyrazistych rysach robi nienajgorsze wrażenie: maluje się na niej stanowczość i energia. Jego matką była mulatka, pochodząca ze szczepu Szanja. Za życia ojca, sultana Mulej-Hasana, Hafid nie sprawował żad-



Abd-el Azis.

nych urzędów publicznych. Do 25-go roku swego życia oddawał się on jedynie studyom mądrości muzułmańskiej, Hafid jest najbardziej wykształcony ze wszystkich książąt krwi królewskiej, co zyskało mu wielkie uznanie duchownych arabskich — „ulemów.“ Dzięki owym studyom naukowym i unikaniu polityki Hafid w r. 1894 przy wstąpieniu na tron brata Abd-el-Azisa nie był uwięziony, jak inni bracia sultana.

Dopiero w roku 1902 Hafid został mianowany kalifem prowincyi Huz i osiadł w Marakesz. Ale władza jego była przez czas dłuższy tylko nominalna, gdyż w osobie gubernatora El Hadż Abdes Salama natrafił on na sprytnego przeciwnika, który umiał zręcznie wyzyskać podejrzliwość sułtana Abd-el-Azisa i pozbawił Hafida wszelkiego wpływu na przebieg spraw w prowincyi.



General francuski Drude.

Usunięty w ten sposób od władzy faktycznej, Hafid zajął się kaptowaniem sobie stronników w szczepach Glauja, Gondofja i wśród Berberów południowego Atlasu. Ta praca powiodła się mu najzupełniej i jej zawdzięcza on obecnie swoje wywyższenie.

Ogólne zdanie nielicznych Europejczyków, którzy mieli sposobność poznania Hafida, jest dość przychylne dla niego. Nie jest on wrogo usposobiony dla Europejczyków. Po rozruchach w Marakeszu, które skończyły się zamordowaniem francuskiego lekarza Mauchampa, Hafid surowo skarcił gubernatora miasta i rozkazał przedsięwziąć środki, zabezpieczające bezpieczeństwo Europejczyków.

Ale nie występując wrogo przeciw Europejczykom, Hafid jednocześnie nie obiecuje zbytniej uległości wymaganiom państw europejskich. Cytowane są powszechnie teraz słowa jego powiedziane w rozmowie z pewnym dziennikarzem angielskim. „Co mnie może obchodzić umowa w Algecirasie? Nie zapytywano nas wtenczas, a wy nie możecie rozporządzać losem siedmiu milionów muzułmanów, nie rachując się z właściwościami ich pochodzenia i religii.“ Te słowa dowodzą, że Hafid nie chce być sułtanem malowanym, a myśli rządzić u siebie w kraju, nie bardzo oglądając się na gabinety europejskie.

Jeżeli więc uda się Hafidowi pokonać wszystkie stojące jeszcze na drodze do tronu trudności (a jest ich mnóstwo), będą miały rządy europejskie w Maroku jeszcze jeden twardy orzech do zgryzienia.

Do powyższych dwóch najsilniejszych potęg w Maroku przybywa trzecia — faktyczna: francuski general Drude, ze swoją armią, wzrastającą coraz nowemi posiłkami. General Drude jest człowiekiem energicznym i bardzo wojowniczym, to też według najnowszych wiadomości zerwał z Marokańczykami układy i rozpoczął akcyę wojenną. General Drude wyruszył dn. 21-go b. m. rychło rano w kierunku Sidi-Brahim, uderzył na znajdujących się tam Marokańczyków i rozproszył ich po krótkiej walce.

Młody Chińczyk w Polsce.

Ksiądz St. Muznerowski z Lubrańca, w Królestwie Polskiem, przywiózł ze sobą z Dalekiego Wschodu zdobycz niezwykłą: młodego Chińczyka, który tak się do naszego kapłana przywiązał, iż go nie chciał opuścić. Chińczyk został ochrzcony i nazwany Jankiem. Nazwisko jego rodowe est Wan-er-sio.



Mały Chinczyk Janek Wan-er-sio.

Ks. Muznerowski wychowuje go w głębokim duchu chrześcijańskim. Zamierza podobno zachęcić go z czasem do szerzenia wiary katolickiej wśród rodaków, pragnie, aby był misyonarzem w Chinach. Wan-er-sio umie już po polsku i po rosyjsku. Będzie też znał inne języki, a mianowicie angielski i francuski.

Złote listki.

Ludzie nieużyci samej wymowy tylko się uczyli, bo ze wszystkiego się wymawiają.

Alojzy Żółkowski.

* * *

Przed Bogiem nie trzeba wymowy.

Juliusz Słowacki.

Z dziejów mieszczaństwa poznańskiego w XVI. wieku.

4) Napisał ks. Dr.

(Dokończenie).

Najliczniejsza jednak liczba mieszkańców Poznania należała do stanu mieszczańskiego, a składali się na nią rzemieślnicy, artyści, kupcy, w mniejszej znacznie liczbie urzędnicy grodzcy i ziemscy, wreszcie i rolnicy, zwłaszcza na przedmieściach. W 13-tym i 14-tym wieku stan mieszczański obdarzony był największemi swobodami, które atoli z biegiem czasu coraz bardziej ścieśniano. I tak już w r. 1310, gdy Przemysław, mieszczanin poznański, sprzyjający Niemcom, bramy miasta książętom głogowskim otworzył, Władysław Łokietek ustaliwszy tron swój, ukarał mieszczan poznańskich wydając prawo, by żaden z ich potomków do kapituł i prebend kościelnych w całem Królestwie nie był przypuszczony. Znaną jest rzeczą, iż do kapituł katedralnych od czasów Władysława Jagiełły tylko szlachciców dopuszczano, a kapituła poznańska skrupulatniej jeszcze niż inne prawa tego, „de non recipiendis plebeis,“ które i przez papiery było potwierdzone, strzegła. Tylko 2 kanonie w XVI. w. były przeznaczone dla członków stanu mieszczańskiego, musieli oni jednak odznaczać się głębszą erudycyą i posiadać tytuł doktorów teologii, prawa kościelnego lub medycyny, później w XVII. w. Andrzej Szoldrski, jeden z największych biskupów poznańskich, pomnożył ich liczbę na 4. Ale cóż to znaczyło na 34 kanoników!

Na końcu XV., a stanowczo już w pierwszej połowie XVI. wieku odebrano mieszczanom Poznania i kilku innych miast uchwałą sejmową wolność nabywania i posiadania dóbr ziemskich. Z tem wszystkiem miasto Poznań należało do małej liczby miast polskich, których mieszkańcy posiadali pewne, równe szlacheckim swobody. Tak n. p. mieszczanie poznańscy podpisywali traktaty królewskie, w roku 1343 traktat zawarty między Kazimierzem Wielkim, a Krzyżakami, później takiż sam między Władysławem Jagiełłą a zakonem krzyżackim.

W czasach późniejszych wysyłali mieszczanie poznańscy posłów swoich na sejmy konwokacyjne, elekcyjne i koronacyjne, razem więc z szlachtą obierali królów i podpisywali pacta conventa.

Po koronacyi posłowie ich przypuszczani byli do pocałowania ręki kró-

lewskiej i wynoszeni byli częstokroć do stanu szlacheckiego. Od roku 1619 wskutek rozkazu wydanego przez Zygmunta III. nie mógł być żaden dyssydent przypuszczony do praw obywatela poznańskiego. Zresztą przyjęcie do prawa miejskiego nie było nigdy utrudnianem. Rzemieślnik lub kupiec wkupiwszy się do bractwa swego, przedstawiony był przez cechmistrzów swoich magistratowi, który mu po złożeniu przysięgi i opłaceniu małego podatku zwykle 3 złote polskie wynoszącego, zwanego *prochowe,* prawa obywatelstwa udzielał. Przyjmującemu prawo miejskie przedkładane bywały artykuły roku 1575 ułożone, na których wypełniamie i dotrzymanie składał przysięgę. Podaję choć kilka z nich.

1. Cześć, wiarę i posłuszeństwo I. K. Mości Panu naszemu miłościwemu każdego czasu i na każdem miejscu powinien oddawać i co rozkaże uczynić i wypełnić.

2. Także cześć, wiarę i posłuszeństwo panom burmistrzom, wójtowi obojej radzie i urzędnikom miasta tego Poznania podobnym sposobem i rozkażą, albo uchwalą wypełnić.

3. Przywilejom i wilkurom miejskim, także zwyczajom żadnym sposobem że się nie sprzeciwi, owszem pomoże, aby je zupełnie każdy mieszczanin trzymał.

5. Gdyby kto przeciwko J. K. Mości panu naszemu miłościwemu, albo przeciwko urzędowi miasta tego i jego uchwałom bunty, albo opór lub też sekretne zmowy i schadzki jakiekolwiek czynił, takich nie pomoże, albo je zaraz urzędowi oznajmi.

6. Jeżliby na którego mieszczanina gwałt jaki, albo najście przypadało lub też ogień (czego Boże uchowaj), tedy takowego sąsiada i jego dobra swą własną osobą i wszelaką bronią, albo naczyniem powinien bronić, albowiem też każdy sąsiad w podobnym przypadku toż świadczyć i bronić sąsiada swego powinien.

8. Dla siebie posiadłość, to jest dobra i posesyą na juryzdykcyi miejskiej, tudzież zbroję, rapir albo pałasz, muszkiet, kule, proch i wszelki porządek do obrony miasta i sąsiada swego, żeby miał w roku i sześciu niedzielach, to znaczy, żeby sobie przedmioty te sprawił w przeciągu roku i sześciu tygodni.

Rota przysięgi składana przy przyjęciu do obywatelstwa była następującą: Ja N. N. przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, iż te wszystkie artykuły, które mnie teraz opowiedziano chcę trzymać, pełnić i wykonać według największej możności mojej. Tak mi Panie Boże dopomóż i syna Twego niewinne umęczenie.

Mieszczaninem tedy poznańskim był tylko ten, który nieruchomość jaką w obwodzie juryzdykcyi magistratu posiadał. Było atoli wielu ludzi po domach świeckich i duchownych mieszkających, którzy chociaż wielkie korzyści z miasta odnosili, do klasy mieszczan nie należeli.

Mieszczanie poznańscy łączyli się związkami małżeńskimi z mieszczanami krakowskimi, lwowskimi, warszawskimi i innych większych miast w Koronie. W XVI. w. spotykamy w Poznaniu zamożnych Szyllingów pochodzących z Weissenburga w Alzacyi, którzy do nas przybyli z Krakowa, dalej rodzinę von Watt, która jednak nie była szlachecką, jak twierdzi Łukaszewicz, pochodzącą z St. Gallen w Szwajcaryi. Członek tej rodziny Joachim Watt czyli Vadianus był głośnym jako reformator w Szwajcaryi, odwiedził on też w roku 1515 członków swej rodziny osiadłych w Poznaniu i Krakowie i zachwycony był kopalniami soli w Wieliczce.

Należałoby jeszcze poruszyć kwestyą jak się miasto Poznań rządziło, bo to najlepiej okazuje swobody i przywileje miasta i mieszczaństwa, lecz czas ograniczony zniewala mnie, by sprawę tę pominąć.

Wiek XVI. jak z jednej strony jest chwilą przełomu i zwycięstwa narodowości polskiej, polskiego języka i polskich tradycyi w Poznaniu nad zbytnio rozrastającymi się po miasta szych sąsiadami z Zachodu, tak z drugiej jest chwilą największego rozkwitu mieszczaństwa zwłaszcza pod względem materyalnego dobrobytu. Handel Poznania, stosunki kupieckie zwłaszcza z Norymbergią, ale i Gdańskiem, Wrocławiem, a nawet Włochami i Szkocyą nigdy nie był tak ożywiony za czasów Rzeczypospolitej jak w wieku XVI. To też dobrobyt ogólny panował w Poznaniu, wzrastało zamiłowanie do nauk, że wspomnę choć tylko akademią Lubrańskiego założoną w r. 1520 i sztuk pięknych. W parze z tem szła chęć używania i zbytek w ubiorach i strojach, czego dowodem jest rozporządzenie magistratu w r. 1535 wydane a zakazujące dziewczynom służebnym, mamkom i szynkarkom noszenia jedwabi kosmatych, adamaszków i atłasów, strojenia sukien w złoto, srebro i perły, noszenia pierścieni i łańcuszków złotych i srebrnych.

Ale oko nasze i myśl woli się napawać widokiem i wspomnieniem dobrobytu, przepychu i wzrostu, niżeli nędzy, ubóstwa i upadku, dla tego wiek XVI. jest tak ciekawym i godnym poznania. Pierś też ówczesnych naszych współobywateli napełniało i rozpierało to poczucie własnej godności, któremu wyraz daje sławne dziecko poznańskie, ks. Jan Markiewicz, kiedy pisze w obronie zarzutu pochodzenia nieszlacheckiego:

Jakaż wina lub wstyd jest być mieszczaninem poznańskim? Wszakże mieszczanin poznański równy jest w prawach swych, swobodach i przywilejach każdemu obywatelowi w Polsce!

Z ojczystych stron.

Mława.

Miasto powiatowe w gub. płockiej w Królestwie Polskiem, leży przy linii kolei nadwiślańskiej. Pamiątek historycznych napróżno-byśmy tu szukali, a jednak ma ono pewien urok dla turysty — jest bardzo schludne i to zachęca już do zatrzymania się na kilka godzin i zwiedzenia dawniejszych budowli.

Ulice tu szerokie, brukowane, oświetlone w porze nocnej lampami naftowemi. Wzdłuż ulic widzimy wiele pięknych kamienic piętrowych, niedawno zbudowanych. Czystość nawet w zaułkach wzorowa, co rzadko spotyka się w miastach prowincyonalnych.

Chcąc bliżej zapoznać się z miastem, musimy najpierw sięgnąć do jego przeszłości. Z akt dawnych dowiadujemy się, że w roku 1429 książęta mazowieccy wydali przywilej na założenie Mławy, która otrzymała jednocześnie prawo chełmińskie. W czasach późniejszych, królowie polscy nadawali miastu różne przywileje, co dodatnio wpływało na rozwój handlu i wzrost samego miasta.

W roku 1564 Mława liczyła już w swych granicach 424 domy i 225 rzemieślników cechowych, prócz szewców, których było około 200. Było ono ładnie zbudowane; gdy jednak nadeszły czasy wojen szwedzkich, schludne domy padły ofiarą pożarów, ludności ubyło, upadł handel i miasto zaczęło się chylić do upadku, nie mogąc przez czas dłuższy powrócić do pierwotnego

stanu. Lustracya z r. 1765 znalazła w mieście już tylko 85 lichych domostw.

Nowe przywileje znowu zaczęły pomagać miastu do nowego rozwoju, gdy nagle powstały pożar w r. 1713 zniszczył pięć ulic, zamieniając w gruzy 83 domy. To znowu zrujnowało mieszkańców. Dopiero w r. 1800 zaczęli do Mławy napływać żydzi, a trudniąc się przemytnictwem, dopomogli nieco do rozwoju handlu. Od r. 1815 kupcy pruscy zaczęli przez Mławę przewozić towary kolonialne, cukier i wyroby bawełniane, a wywozić zboże, drzewo i skóry; znacznie to poprawiło stan ogólny miasta, które, zostawszy w roku 1840 powiatowem, a następnie otrzymawszy stacyę kolejową po zbudowaniu drogi nadwiślańskiej, zaczęło dążyć do zajęcia poważniejszego stanowiska między miastami prowincyonalnemi.

Obecnie liczy już ono blizko 600 domów i z górą 13,000 mieszkańców. O rozwoju rzemiosł świadczy istnienie 12 cechów, chociaż poziom specyalnego wykształcenia rzemieślników pozostawia wiele do życzenia.

Na środku rynku widzimy świątynię parafialną, z zewnątrz niezbyt efektownie prezentującą się. Kościół przy swych rozmiarach jest za nizki, a tem samem wysokie wieżyce nie godzą się z całością.

Pierwszy kościół zbudowany tu był około roku 1477, kilkakrotnie po pożarach przebudowywany, ostatecznie zniszczony został przez pożar dnia 23-go listopada roku 1792. Na jego miejscu stanął obecny, zbudowany kosztem parafian w roku 1884, w stylu staro-romańskim, o trzech nawach. Przed kilku laty kościół dokoła około no pięknemi sztachetami żelaznemi, na wysokiem podmurowaniu, a naprzeciw głównego wejścia w r. 1901 ustawiono na pamiątkę nowego stulecia dwie piękne, rzeźbione z białego piaskowca figury Jezusa Chrystusa i Matki Boskiej.



Ogólny widok Mławy.

Wnętrze świątyni przedstawia się nierównie lepiej, jako świeżo odrestaurowane pod widocznym kierunkiem artystycznym. Ściany presbiteryum robią wrażenie obitych makatami koloru szkarłatnego z zielonym, w różnych odcieniach, z wiszącemi u dołu kwastami, na plecionce z grubego sznura złoconego. Na suficie jest wymalowany obraz św. Trójcy, okolony śliczną ornamentacyą. Sufit nawy głównej zdobi piękny ornament, a pośrodku obraz Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny. Na głównych filarach rozmieszczono sześć obrazów Świętych Pańskich, a u góry roztacza się szlak z liści, obramowany palmetami z epoki Odrodzenia. Nawy boczne grzeszą nieco jaskrawością.

Pięknie też malowaną jest kaplica Matki Boskiej.



Ogród spacerowy w Mławie.

Oprócz wyżej opisanego, miasto posiada drugi jeszcze kościołek — św. Wawrzyńca, znajdujący się na cmentarzu grzebalnym.

Zarządzający około roku 1712 kościołem parafialnym mansyonarze wy-

stawili klasztor murowany, w którym obecnie mieści się biuro naczelnika powiatu.

Ze starszych budynków wymienić jeszcze wypada gmach ratuszowy, zbudowany w r. 1545, a odrestaurowany w roku 1878.

Z nowszych budowli widzimy w mieście cerkiew prawosławną, kościół ewangelicki, szpital św. Wojciecha, dom schronienia, ochronkę i resursę, w której koncentruje się życie towarzyskie Mławy, naturalnie, przy zielonych stolikach. W resursie mieści się sala teatralna.

Z instytucyi społecznych Mława posiada towarzystwo dobroczynności, towarzystwo śpiewacze, towarzystwo pożyczkowo oszczędnościowe, straż ogniową i świeżo zorganizowane towarzystwo myśliwskie.

Kilkanaście młynów, browar, fabryka mydła, olejarnie, fabryka krochmalu i kilka innych drobniejszych reprezentują przemysł miasta.

Oto niemal wszystko co powiedzieć można o Mławie po kilkogodzinnej w niej bytności. Na odjezdnem jednak dowiaduję się jeszcze o panującym tu odwiecznym zwyczaju, nieistniejącym w żadnej zdaje się z miejscowości Królestwa Polskiego, a więc skwapliwie notuję szczegóły ceremonii zwyczajowej, jaka odbywa się tu corocznie w dzień oktawy Bożego Ciała.

Duchowieństwo miejscowe w liczbie pięciu księży odbywa pochód ceremonialny na czele parafian na wszystkie cztery granice parafii mławskiej, celem zakopania w ziemię Ewangelii św., jako ochrony od klęski głodowej, pomoru i t. p.

Na czele pochodu, stosownie do tradycyi, jedzie wierzchem trzech wikaryuszów i starsi zgromadzenia rolniczego, z chorągwiami i krzyżami; za nimi posuwa się szpalerami cały zastęp pobożnych parafian na wozach. Pierwszą Ewangelię św., umieszczoną w zakorkowanej butelce, zakopują zwykle w stronie Łomży, drugą przy granicy Wólki Mławskiej, trzecią w lesie rządowym, a czwartą na granicy Nowej Wsi. Podczas zakopywania butelek lud z kapłanami odśpiewuje pienia religijne. Ceremonia kończy się zwykle późnym wieczorem modłami w kościele. *L. V. J.*

Poranek rolnika.

Śpiewa rolnik na swej niwie
Praca idzie mu szczęśliwie,
Bo przy pracy przyśpiewuje,
A rąk swoich nie żałuje.

Rolnik wołki swe pogania,
Nikt mu wzroku nie zasłania;
Wszędzie udzięczny widok wkoło,
W sercu czysto i wesoło!

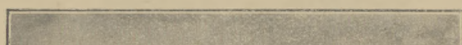
Myśli sobie: O mój Boże,
W pulchną ziemię ziarnko złożę,
A Pan wielki w Swej dobroci,
Całą niwę mi ozłoci.

I pracuje, nie spoczywa,
Wciąż piosenkę sobie śpiewa;
W górę słonko już się wzbija,
A pogoda pracy sprzyja.

Bo kto pieśnią Boga sławi,
Temu Pan Bóg błogosławi,
Daje ile potrzeb, chleba,
I wszelakiej łaski z nieba.

Wydawnictwa prof. Karola Kozłowskiego.

Wspominaliśmy niedawno o książce wydanej przez prof. *Karola Kozłowskiego*, o „Złotych ziarnach.“ Dziś możemy podzielić się z czytelnikami



Profesor Karol Kozłowski.

naszymi nową wieścią. Oto prof. Kozłowski przygotowuje i wkrótce wyda dwie nowe, pożyteczne książki, mianowicie: „Powieści i opowiadania słowiańskie“ — oraz „Wojsko Polskie.“

„Powieści“ zebrane są z podań wszystkich szczepów słowiańskich, tak że czytelnik nabierze z nich wiadomości o podaniach i w pewnej mierze o charakterze i usposobieniu wszystkich Słowian. Książka o „Wojsku Polskiem“ ma podać historyczny rozwój wojskowości polskiej. Obie książki będą bogato illustrowane, wojsko polskie w części kolorowo.

Przy tej okazyi uważamy sobie za miły obowiązek poznajomienia czytelników naszych nieco lepiej z prof. Kozłowskim i jego wydawnictwami w ogóle.

Prof. Kozłowski dźwiga dziś już ósmy krzyżyk. Pomimo tego w pracach swoich nie ustaje. Gwiazdą jego przewodnią jest: nauka i oświata społeczeństwa polskiego, a poszczególnie ludu.

Urzędu profesorskiego p. Kozłowski nie spełniał w szkołach pruskich. Dał bowiem dowód umiłowania swego do spraw ojczystych przez uczestniczenie w powstaniu w r. 1863/4. Był natomiast całych lat 10 nauczycielem 2 synów ks. Czartoryskiego z Rokosowa, poczem osiedlił się w Poznaniu. Od tego czasu z jednej strony rozpoczął pracę nad wychowywaniem ludu, wydając dlań pożyteczne książki a z drugiej strony w dalszym ciągu kontynuował wychowywanie młodzieży, przyjmując do pensyonatu synów obywatelskich, odbywających tutaj swoje nauki gimnazyalne.

Działalność wydawnicza prof. Kozłowskiego także nie jest jednostronną. Nie wydaje on same tylko utwory innych — lecz i sam chwyta za pióro, pisze i drukuje własne utwory. Oto dziełka jego pióra: „Żywoty prymasów i arcybiskupów gnieźnieńskich,“ „Życie i dzieła Fryderyka Johna, sławnego rytownika polskiego,“ „Tatry i Podhalanie,“ „Bolesław Chrobry i Oton III w Gnieźnie,“ „Gry i zabawy dla młodzieży,“ „Wojsko polskie w r. 1831,“ „Jak pisać listy? — czyli nowy sekretarz polski...“

Z wydanych przez prof. Kozłowskiego utworów innych autorów wspomnieć się godzi: „Ostroróg,“ monografię przez *Calliera,* „Zarys dziejów Polski porozbiorowej,“ „Wspomnienia o życiu i pismach Adama Mickiewicza“ — *J. Chociszewskiego,* „Powstanie narodu polskiego z r. 1830/31 przez *L. Mierosławskiego,* „Kościuszko, Kiliński, Głowacki,“ „Złota książeczka dla młodzieży“ — *J. Chociszewskiego,* „Skarbczyk polski,“ krótka historya polska, ozdobiona wizerunkami królów polskich *Ilnickiej,* „Ewu-

nia,“ kartka z życia Mickiewicza *S. Duchińskiej*, „Pamiętniki generała Lewińskiego,“ „Wesoły deklamator“ — *J. Chociszewskiego*, „Piast i Kościuszko“ — *Janka z Grzegorzewic*, „Światła i kwiaty“ z złotych ziarn—*Sienkiewicza* i „Dzieje Polski,“ illustrowane *Baczyńskiego*. Ostatni autor znany jest dobrze także czytelnikom naszym, gdyż pisze w „Pracy“ — „Naród polski pod obcem panowaniem.“

Prócz wydawnictw książkowych starał się prof. Kozłowski o szerzenie wśród społeczeństwa także obrazów, mających za treść już to przeszłość Polski, już to specyalne momenty, zdolne przyspożyć chwały imieniowi polskiemu i poza granicami Polski. Tak n. p. zebrał p. Kozłowski wizerunki różnych dzielnych królów i innych mężów polskich i wydał je na wspólnym obrazie, któremu nadał nazwę „Chwała Polski.“ Sławnemu artyście-malarzowi p. H. Siemiradzkiemu podsunął myśl i dostarczył materyału do obrazu „Chopin u ks. Antoniego Radziwiłła.“ Obraz ten rozchodzi się po wszystkich stronach świata, gdziekolwiek dotarło głośne imię Szopena (spolszczone z Chopin) i jego przecudne utwory muzyczne, do których melodye czerpał z piosnek ludowych, mazurków, krakowiaków i t. d.

Na osobną wzmiankę zasługuje książka: „Wizerunki królów polskich,“ do których dośpiewała S. Duchińska w pięknych pieśniach chwałę ich czynów i życia. Nie należy także pominąć obrazów wojska polskiego z r. 1830/31.

Same tytuły przytoczonych przez nas książek świadczą o tem, że wydawcy ich chodziło o uczciwą, dobrą strawę duchową dla społeczeństwa naszego.

Dziś p. Kozłowski już wiekiem nieco strudzony. A jednak w pracy nie ustaje. Zniewolony był atoli wycofać się z prac społecznych, w których brał udział. N. p. był 10 lat sekretarzem wydziału historycznego Tow. Przyjaciół Nauk, tak samo lat kilka sekretarzem Tow. „Oświaty Ludowej,“ aż do rozwiązania, był nadto kierownikiem wydawnictwa ks. Bażyńskiego aż do jego rozwiązania.

Pędzi więc prof. Kozłowski żywot swój rzetelnie dla służby na niwie społecznej i narodowej pracy. Toż godzi się przypomnieć nazwisko i pracę jego tym, którzy o nim wiedzą, i zapoznać go z tymi, którzyby o nim nie wiedzieli.

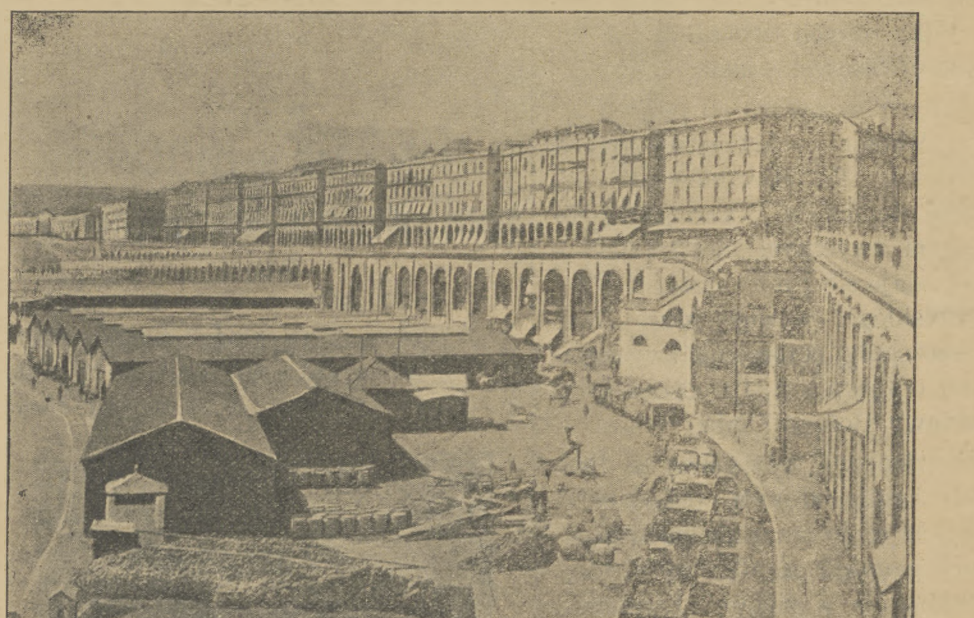
I. Sw.

Sprawy ekonomiczne.

Opodatkowanie dochodu pracujących.

Pruski minister skarbu wydał rozporządzenie, zawierające przepisy co do tego, w jaki sposób dowiedzieć się o dochodzie robotników, aby ich pociągnąć do podatku dochodowego.

1. Gdzie spis ludności w celach podatkowych się odbywa na formularzach, należy od przyszłego roku podatkowego, wpisać także nazwisko i miejsce zamieszkania pracodawcy. Zarządy gminne (burmistrze i sołtysi) powinni potem uporządkować te listy podług fabryk i sporządzić listę pracodawców, którzy mają dać o robotnikach wywiad.



Bulwar w Algierze.
Najważniejszem miastem handlowem i portowem z miast kolonialnych francuskich w Algierze (w północnej Afryce) jest Algier, któremu się słusznie należy tytuł „miasta stołecznego“. Na bulwarze, jak unaocznia rycina, uderzają nas olbrzymie gmachy. Wspaniałe to gmachy, których by się nie powstydził ani Paryż ani Wiedeń.

Jednakże wolno także żądać od pracodawcy spisu wszystkich robotników u niego zatrudnionych, ile możności z miejscem zamieszkania, co do których wywiad podatkowy jest potrzebny.

2. Pracodawca jest obowiązany dać odpowiedź na zapytanie, ile dochód robotnika wynosi i to dochód za czas od 1 stycznia lub od dnia przyjęcia robotnika do pracy aż do końca września. Jako dochód rozumie się gotówkowa zapłata oraz naturalia (n. p. drzewo, węgle, grunt do użytku i t. p.). Pracodawca może podać, jeśli chce, dochód całoroczny robotnika.

3. Pracodawca jest obowiązany dać wywiad tylko co do tego dochodu, o którym dokładnie wie. Jeśli kilku robotników podejmie się jakiej np. akordowej pracy, za którą pracodawca w całości zapłaci, lecz nie wie, jak robotnicy między sobą zapłatą się podzielili, wtedy nie ma obowiązku ani nie może podać dokładnych wiadomości o dochodzie każdego z tych robotników.

4. Naturalia, a w szczególności wolne mieszkanie lub utrzymanie należy podawać bez oznaczenia wartości. Oszacowania tego pod żadnym warunkiem od pracodawcy żądać nie wolno.

5. Władze podatkowe nie powinny przeoczyć, że od podanego przez pracodawcę dochodu należy odciągnąć to wszystko, na co ustawa pozwala. A więc nie tylko składki do kasy chorych, inwalidzkich i t. p., lecz także wydatki na narzędzia, surowe materyały, na jazdy do pracy oraz pewien procent na zużycie narzędzi i zniszczenie odzieży robotnika.

6. Niekoniecznie co rok trzeba żądać wywiadów od pracodawcy. Jeśli podane w jednym roku wiadomości zatrzymają swoją ważność i na dalszy czas, wywiadu nie potrzeba. W każdym jednak razie, gdy bez wywiadu pracodawcy dochodu robotnika nie można dobrze opodatkować, należy żądać wywiadu i to na mocy paragrafu 23 ustawy o podatku dochodowym.

7. Pytać należy pracodawców grzecznie, nie robić im wiele kłopotu i pracy, godzić się na sposoby, jakie sami podadzą, o ile takowe doprowadzają

do celu. W niektórych kopalniach każdy robotnik ma osobną kartę, na której co wypłatę wypisują jego zarobek. Pracodawcy w różnych stronach podają te karty (listy zarobkowe) władzom podatkowym.

8. Pracodawcom trzeba też udzielić dostatecznego czasu do przygotowania wykazów. Dwa tygodnie wystarczą może dla mniejszych zakładów; przy większych należy się zgodzić na dłuższy termin.

9. Sołtys, otrzymawszy wywiad od pracodawcy, co do robotników, pracujących w jego gminie, lecz zamieszkałych w innej, ma obowiązek podać go do wiadomości gminy, gdzie robotnik mieszka.

Oto główne przepisy rozporządzenia ministra. Rzecz oczywista, że przy takiej kontroli każdy fenyg zarobiony zostanie opodatkowany.

Przepisy te nie tyczą się tylko robotników fabrycznych, lecz także wszystkich innych, a dalej nie samych robotników, *lecz każdego człowieka, w jakimbądź zawodzie, który ma pracodawcę.*

Dział kobiecy.

Naparstek.

Babki i matki nasze szukały często dwóch przedmiotów, to jest kluczy i naparstka. Miały je ciągle w używaniu, więc też zarzucały je łatwo i wtedy kto żył, musiał ich szukać. Dziś nie gubią ich nasze panie tak prędko, dlatego, że — używają ich mniej. Klucze, to jeszcze, ale naparstek rzadką bywa ozdobą paluszka kobiecego. Wszakże maszyną szyć łatwiej i prędzej, więc chyba używa go się tylko albo do robótek ręcznych, do haftów, lub do zmudnego cerowania pończoch i sporządzania bielizny. A jedno i drugie można za tanie pieniądze dać „z domu,“ lub wziąć kogoś „do łatania“. Dziś mają kobiety inne zajęcia, walka o byt zmusza je do zarzucania naparstka — dziś miejsce jego zajęło pióro i książka, które kobietom lepszą zapewniają przyszłość.

A jednak są mężczyźni, którzy twierdzą, że naparstek, owe godło pilności i zręczności, piękniejszą jest ozdobą ręki kobiecej, niż najkosztowniejsze pierścienie. Tego zdania był także pewien młody Anglik, który swej narzeczonej przyniósł raz śliczny złoty naparstek.

— Jakie śliczne cacko — zawołała uradowana lady (lady — panna) — jaka misterna robota! Ale powiedz mi, co to właściwie jest?

— Naparstek!

— Naparstek? Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałam! Do czego się to używa?

Młody lord milczał i nazajutrz odesłał pierścionek.

Możeby to sobie nasze młode panienki spamiętały! Anglik wprawdzie nie znał się na galanteryi — zamiast ucałować rączki narzeczonej i cieszyć się, że białe paluszki nigdy igłą pokłute nie będą, zwrócił jej pierścionek, ale nużby się i pomiędzy naszą młodzieżą znalazł tak źle wychowany człowiek!

Czemprędzej jednak dodać muszę, że nasze panienki znają naparstki, że haftują pilnie i że nie potrzebują się niczego obawiać.



Marokańczyk.

Naparstek ma naturalnie także swoją historyą.

Pierwszą wzmiankę o nim znajdujemy w dziele św. Hildegardy w początkach 12 wieku. Jest on tam przytoczony bez oznaczenia użyteczności, ale widocznie znano go już wówczas. W Darmsztacie znajduje się w tamtejszem muzeum naparstek z 14 stulecia. Znaleziono go głęboko w ziemi, przy budowaniu jakiegoś domu — naparstek ten jest z bronzu i formą zupełnie podobny do dzisiejszych.

W Norymberdze wyrabiano naparstki z srebra i złota i zdobiono je gwiazdkami, kwiatami, oraz ryto na nich rozmaite słowa i przysłowia. We Francyi dawał każdy młodzieniec wybranej swego serca naparstek z rozmaitemi napisami, n. p. „ „la piussance d'amour,“ „a ma bien aimee,“ „ne m'oublie pas“ i t. p. I pewnie myślała dziewczyna o lubym, szyjąc swoją wyprawę, i patrząc na błyszczący naparstek, na dar ukochanego!

Dziś nie ma tak poetycznych napisów na naparstkach z stali lub blachy, a srebrne ozdobione są u góry kolorowym kamyszkiem — ot wszystko! Najpiękniejsze naparstki mają podobno królowa włoska Helena i Wilhelmina holenderska, królowa Helena dostała swój od męża, Wilhelmina zaś od „wuja Krügera“. Obydwa są złote, ozdobione drogiemi kamieniami.

Ale czy ich używają? Czy zarzucą je tak jak nasze babki i matki?

Empa.

Najnowsza
nader ciekawa historya.

Istnieją w świecie rozmaite wozy:
Kryte, niekryte, bryczki i powozy,
Lecz jeden nabył dziś największej chwały —
To wóz Drzymały!

Od dawien dawna koczownicze plemię
Cyganów, nasze nawiedzało ziemię,
A że niejedną rzecz „annektowali“ —
Im się nie chwali.

Oni wskazani tułać się po świecie.
Tu kradną pieniądz owdzie ładne dziecię,
Więc mają wprawę w ciężkiej o byt walce —
I „długie palce!“

W miejscu rodzinnem, wśród węgierskiej puszty
Im wystarczały i derki i chusty,
Tam bowiem człowiek; gdy ciepło panuje —
Zimna nie czuje.

W ciągłych podróżach było im potrzeba
Obok codziennie żebranego chleba,
Miejsca schronienia zawsze gotowego,
Wozu krytego!

Więc, kiedy weszli w kraj „Bojaźni Bożej,“
Gdzie się i zimno i „porządek“ sroży,
Różnym sposobem pieniędzy nabyli —
I wóz kupili.

Długo jeździli nim po całym kraju,
Nocy spędzając w lasach — ze zwyczaju
— Aż się wozisko w ścianach popękało —
I potrzaskało.

Nastała potem u nich wielka bieda;
Na co nam taki wehikuł się przyda?
Może innego sobie wyszukamy?
A ten sprzedamy.

I traf nadarzył im chłopa polskiego,
Który pod grozą kodeksu karnego
Nie mógł na ziemi swej domu budować —
By się w nim schować.

Kupił — zamieszkał — a że było w lecie,
Przeto o zimno troska go nie gniecie.
Nieraz prąd wiatru ciśnie się przez szpary —
Że wóz był stary.

Gorzej z ogniskiem — trudna była rada
Mieć je na dworze, gdy deszcz ciągle pada
— Więc je niebawem urządził przy wozie —
Za to jest w „kozie!“

Według „porządku“ hakatystycznego
Nie wolno tworzyć ogniska nowego,
Wolno urządzić każdemu Niemcowi —
Nie Polakowi.

Kiedy mąż w „kozie“ żona z dziećmi żyje
W wozie pod dachem, przed deszczem się kryje,
Lecz ma obawę, czy mrozy przetrzyma —
Gdy przyjdzie zima?

Jest nauczona nadziei nie tracić,
Przecież mąż zdoła wozisko ogacić
— Lecz nowa troska ciśnie ją i boli! —
Czy rząd pozwoli?

I na to rada, a z dobrym wynikiem,
Wykopie jamę i będzie „królikiem“.
A w tem mu żaden nie przeszkodzi „zając“ —
Złością pałając.

Choć rząd ogniska w jamie mu zabroni,
— To ciepło ziemi w głębi go uchroni.
Tak zimę przetrwa, aż znów ciepło wróci —
On się nie smuci.

Choć zjadą tacy, co kują ustawy,
On mieć nie będzie przed nimi obawy,
Ni mu hakaty cnej zaszkodzi wrzenie —
Ni wywłaszczenie!

Na to zjawisko ze świata zjechali
Z Włoch, Anglii, Francyi, brak tylko Moskali
— Bo u nich także szerokie sumienie,
I uciemiężenie!

Moc fotografów wozisko fiksuje
I trafny pomysł chłopa admiruje.
Każdy się cieszy, że wóz „odebrany“.
I skopiowany.

Poszła rycina we wszystkie gazety
Obcych narodów. O rety! o rety!
Już w całym świecie rozgłos zyskał śmiały —
Pomysł Drzymały.

Z tego praktyczna snuje się nauka:
Kto ma parcelę, a mieszkania szuka,
Niechaj „porządki“ hakaty wygłupi.
Wóz sobie kupi!

Józef S.



Powstańcy marokańscy.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 29 września 1436 narady w Lublinie nad połączeniem Litwy z Koroną. — 1436 hołd Multan i Wołoszczyzny. — 1812 Polacy w bitwie pod Czerychowem.

Dnia 30 września 1410 Krzyżacy zdobywają Tucholę. — 1658 przymierze z Danią przeciw Szwedom. — 1796 Dąbrowski u rządu rzeczy pospolitej francuskiej.

Dnia 1 października 1459 odparcie Czechów od Wrocławia. — 1648 sejm elekcyjny.

Dnia 2 października 1413 sejm w Horodle zatwierdza zjednoczenie Litwy z Koroną. — Śmierć Barbary, pierwszej żony Zygmunta I. — 1587 przybycie Zygmunta III do Gdańska.

Dnia 3-go października 1609 pobicie Szwedów pod Rewlem. — 1654 Moskale wchodzą do Smoleńska. — 1671 Turcy podnoszą wojnę. — 1705 Stanisław Leszczyński zaprzysięga pacta conventa.

Dnia 4 października 1509 bitwa z Wołochami na Pokuciu. — 1576 sejm w Toruniu. — 1582 sejm w Warszawie. — 1705 koronacya Stanisława Leszczyńskiego. — 1831 wojska polskie wchodzą w kordon pruski.

Dnia 5 października 1356 prawo teutońskie wprowadzone do Krakowa. — 1465 urodzenie króla Aleksandra. — 1763 śmierć Augusta III. — 1707 sejm konfederacyi dysydenckiej.

Humor i satyra.

W szkole.

Profesor.

Jak się zowie stworzenie,
Co go w świecie są masy —
Często nawet w pokoju
Robi gwary, hałasy...
Co ma nogi... i warczy,
Gdy jest ręką zaczepian,
Spać nie daje swym głosem,
No... no... jakże?...

Uczeń.

...Fortepian...

* * *

Wierne słowo.

Czy wśród zabaw, rozrywek i balów,
Czy pośród głuchej, zakątkowej ciszy,
Czy wśród radości, czy to pośród żalów,
Kobiecie słowo „kochać“ towarzyszy.

Ma lat szesnaście, istny typ podlotka,
A choć na pozór i dzika i płocha,
Opanowała jej serduszko zwrotka
Pragnień, kończąca się słówkiem: „pokocha?“

Kobietą w pełni jest życia i siły;
Dała natura — matka... nie macocha,
Jej dźwięk uroczy, powabny, a miły,
Dzięki któremu szepce ciągle: „kocha!“

Już włos srebrzysty gęsto głowę pruszy,
(Wiek szybko pędzi po życiowej fali!)
Staruszka wspomnień moc dobywa z duszy,
Ozdobnych słowem czarownem: „kochali!“

U malarza.

(Dobroduszna, ale nie grzesząca rozumem kobiecina zamawia u malarza portret swego nieboszczyka męża. Ponieważ nie posiada fotografii, malarz obowiązuje się wykonać podług jej opowiadania. Po miesiącu portret gotów).

— Mój Boże — *(szepce naiwnie czuła małżonka, wpatrując się w robotę malarza)* — jak on biedaczysko po śmierci się zmienił, ani go poznać nie mogę.

* * *

W pokoju.

— Cóż u Boga, spaliłeś już ze sto zapałek, czegóż tam szukasz pod szafą?

— A jednej zapałki, proszę ojca, która mi tam wpadła...

* * *

Ostateczna przemiana.

Gdym się starał o jej rękę,
Panieneczka owa miła,
Unikała blasku wrzawy,
Fijołeczkiem skromnym była.

Gdy za żonę ją pojąłem,
Czując w sercu radość dużą,
Rozwinąwszy się w miodowych
Dniach, piękną się stała różą.

Dziś, gdy dążę osowiały,
Z biura do domowej mety,
Miast fiołka albo róży,
Oset widzę tam, niestety!

* * *

Heraldyk.

— Tate, co to jest drzewo genealogiczne?

— To jest, mój Kubusz, takie drzewo, co za cały sąg tego drzewa, to żaden kupiec nie da ani grosza, a jak nim podpalisz w piec to tobie i tak będzie żymno...

Łamigłówka rombusowa.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“, Wanda Plucińska z Poznania.

a
a a a
a a a a a
a b b b c c c
c d d e e e e e e
e e e e f f f h i i
i i i i i i i i i i i j j
j j k k k k k k l l l l ł m n
u u u u u u u u o o o o o o
o o o o o p p p p r r
r r r r s s s s s s
s s t w w w w w
y y z z z z
z z z
z

Linie przekątne utworzą imię i nazwisko znanego magnata wielkopolskiego, członka izby panów i literata.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Spółgłoska,
2. Walka,
3. Minister w Turcyi,
4. Nabożeństwo,
5. Rodzaj żywicy,
6. Owoc,
7. Zmiana miejca,
8. Imię i nazwisko z łamigłówki,
9. Wyznawcy wiary Chrystusa,
10. Nazwa młodego człowieka,
11. Instrument muzyczny,
12. Kolumna kamienna z daw. czasów,
13. Kraj,
14. Rodzaj łyżew,
15. Samogłoska.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 5-go października włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie logogryfu z nr. 37-go:

1. **W**ojewoda.
2. **O**rka.
3. **Z**ofia.
4. **D**ąbrowski.
5. **R**ejtan.
6. **Z**ółte Wody.
7. **Y**amagata.
8. **M**alina.
9. **A**gat
10. **Ł**okieć.
11. **Y**ork.

Wóz Drzymały.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. M. Buczkowski, H. Adamczewski, Janek z pod góry Przemysława, L. Ludkowski, W. Krzywiński; *z prowincyi:* pp. St. Mikołajczak ze Śremu, H. Palczewska i F. Spychalski ze Środy, A. Grątkowska, K Kamińska, I. Prusinkiewicz z Kościana, Fr. Matuszewski i M. Urbanowicz z Krotoszyna, Fr. Chytry z Kobylina, H. Kaźmierska z Śmigla, K. Jankowski z Obornik, Jan Szymański (syn) z Ostrzeszowa, Marya Adamkiewicz z Gostynia, A. Szymanowski z Kostrzyna, S. Grzepiński z Wronek, Helcia Jęsiek z Koźmina w następującym wierszyku:

Łamałam wczoraj głowę dzień cały —
I wreszcie odgadłam, że to **„wóz Drzymały“!**

M. Krzymińska z Węgierskiego w następującym wierszyku:

Gdy zagadkę w „Pracy“ ujrzałam,
Zaraz ją odgadnąć myślałam
A, że istnieje wóz, co nabył chwały,
To **„wóz Drzymały“!**

F. Nawrocka z Żabiczyna w następującym wierszyku:

W górę serca!
Bo nad hakatystyczne zapały,
Wyżej stoi chłopski rozum: **„wóz Drzymały“!**

W. Hunt z Podzamcza, B. Ruge z Kruszewa, W. Wujek z Domachowa, S. Pietrzak z Strzyżewa kość.; J. Spychalska z Roska, Teofila Wrembel z Rudek, Józefa Kolańczyk z Kowalewa; *z Prus Zachodnich:* pan W Reza z Grudziądza; *z Górnego Śląska:* p. Jan Kędzior z Pszczyny w następującym wierszyku:

Znów przysyłam, droga „Praco“, rozwiązanie [moje,
Jeśli dobre — racz umieścić je na łamy [Twoje,
Bo ja Ciebie zdawna lubię i Twoje zagadki,
Gdy chłopakiem jeszcze byłem w domu [ojca - matki.
O jakże to wtenczas serce me z radości [drgało,
Gdy mi różne się zagadki rozwiązać udało!
Ale dzisiaj choć zagadkę prędko rozwią- [załem,
Jednakowoż z rozwiązania cieszyć się nie [śmiałem,
Wszakże ono przypomina słynny **„wóz [Drzymały“!**
O którym to nie tak dawno gazety pisały.
Przypomniał mi on, jak pewnie i wszystkim [przypomni,
Jak my biedni — na swej ziemi tułacze [bezdomni;
Coraz srożej, coraz srożej straszny los nas [gniecie,
Mimo wszystko stójmy silnie, zmieni się [to przecie!

Z Galicyi: pp. Marcin Skiba z Jasła, H. Wodecki z Ropczyc, W. Priefer z Nieguszowic; *z obczyzny:* pp. Ludwika Bock, A. Rychter, J. Kowalski, S. Wegner z Berlina, J. Woźniak i I. Łysiak z Charlottenburga, A. Kapała z Schonnebecku, W Bogdanowski z Habinghorstu, M. Graś z Marxloh.

Nagrodę otrzymali: pp. H. Adamczewski z Poznania, Helcia Jęsiek z Koźmina i Marcin Skiba z Jasła.

MICHAŁ BAŁUCKI.

Ostatnia stawka.

(3) (Ciąg dalszy).

— A cóż, są twoje panie? — spytał Maurycy pocichu.

— Trzecia loża od sceny.

Maurycy skierował lornetę podług wskazówki i, patrząc, mówił:

— Rzeczywiście, przypomina trochę moję blondynkę; dużo słodyczy i łagodności w twarzy.

Edmund rósł, jak na drożdżach, słysząc te pochwały z ust, z których zwykle słyszał tylko uszczypliwe uwagi i złośliwą krytykę.

— Panna — mówił dalej Maurycy — wcale dobre robi wrażenie. Zobaczmy teraz komentarz do tego poematu — ciocię. Takie dodatki bardzo wiele objaśniają. Cóż, kiedy ciocia poprawia sobie ciągle włosy ręką i zasłoniła w ten sposób twarz. Widocznie musi to być kobieta jeszcze w pretensyach — prawda?

— Rzeczywiście, ciocia lubi się stroić. O! patrz, teraz będziesz się mógł przypatrzeć, spuściła rękę.

Maurycy podniósł znowu lornetkę do oczu, i zaledwie spojrzał, zawołał ze zdziwieniem:

— Pani Solska!

— Ty ją znasz?

— Jakże-bym nie znał — to mój anioł z Neapolu.

— Aniela?

— Tak, Aniela, mój pierwszy kiks w grze małżeńskiej.

— No, to zapewne teraz straciłeś już ochotę przedstawić się tym paniom.

— A to dlaczego? Owszem.

— Więc rozstaliście się zupełnie dobrze?

— Jak najgrzeczniej. Więcej w tem jej zasługa, niż moja, bo umiała tę rzecz z wielkim taktem urządzić. O mało, że mnie na drużbę nie zaprosiła. Taką miała rutynę w zrywaniu miłosnych więzów. Będzie to dla mnie ciekawą rzeczą, zobaczyć ten mój pierwszy ideał, starszy o lat piętnaście, cięższy z kilkanaście funtów, otoczony pół tuzinem dziatek.

— Nie ma dzieci wcale.

— A mąż żyje?

— Żye. Ale go tu niema.

— Po akcie pójdziemy do loży. Ciekawe będzie to spotkanie po latach piętnastu.

Pani Aniela Solska, była to kobieta bogato uposażona od natury w piękne ciało. Gdyby była miała dzieci, można-by o nich było powiedzieć, co Łatka mówi w dożywociu o pannach Lagenach, że mają piękność z matki. (Rozumu z ojca niewiele-by byli odziedziczyli, bo pan Solski sam niewiele go posiadał). Być może, że w czasie, w którym Maurycy poznał ją w Neapolu, miała w sobie coś anielskiego, poetycznego; obecnie to pochodzenie całkiem się zatarło pod obfitością pięknego ciała i przypominała więcej kobiety z ogrodu miłości Rubensa. Pełność jej kształtów doszła już do tej granicy, na której *dobre wyglądanie* przechodzić zaczyna w otyłość; ale właśnie to nadawało jej powab i sztuczną młodość. Przy skromniejszych rozmiarach ciała, może-by, tu i owdzie pokazał się już zmarszczek, zdenuncyował ludziom tajemnicę lat; gdy tymczasem tusza wypełniała do równości aksamitną cielesną powłokę, i nikt nie byłby posądził pani Solskiej o lat trzydzieści ośm, bo nawet paszport jej wykazywał trzydzieści trzy, — tylko ktoś co ją znał od dość dawna, jak naprzykład Maurycy. Wprawdzie on, w czasie spotkania się z nią w Neapolu, nie był także dopuszczony do sekretu metryki, ale wnosząc z wprawy, jaką wtedy już miała panna Aniela w zawiązywaniu i z niecierpliwości, z jaką śpieszyła się z pozbyciem swego panieństwa, mógł przypuścić, że mogła mieć co najmniej, lat dwadzieścia trzy: a że to było przed laty piętnastu, nie trudno mu było, za pomocą prostego dodawania, odnaleźć niewiadomą nikomu cyfrę 38.

Pani Solskiej wnet na myśl przyszło to proste działanie arytmetyczne, które się odbywać musiało w głowie dawnego jej konkurenta, gdy się przypomniał w loży, po drugim akcie, jej pamięci, i niebardzo zadowoloną była z tego spotkania. Dopiero kiedy, nazajutrz dowiedziała się od Edmunda, że Maurycy, oprócz majątku po ciotce, odziedziczył jeszcze majątek po stryju, kazała mu oświadczyć, że bardzoby jej przyjemnie było widzieć go u siebie chociaż przez kilka dni, które jeszcze spędzą w Krakowie.

— To-by był jak raz mąż dla ciebie! — rzekła do Julii po odejściu Edmunda.

— Kto? Edmund?

— Ale cóż znowu? Edmund jest miły młody człowiek, przyjemny w towarzystwie, ale nie ma najmniejszych kwalifikacyi na męża panny, mającej jakie takie wymagania. Cóż może dać za stanowisko żonie urzędniczek z banku, ze skromną pensyą i do tego nauczyciel muzyki.

— Więc o kimże ciocia mówi?

— No, o Maurycym. Słyszałaś, że jest majętnym, bardzo majętnym. A przytem człowiek uczciwy, przynajmniej takim był dawniej, a takim można łatwo pobawić się i zrobić z nim co się chce.

— Tak, tylko nie można zrobić z niego młodego choćby się najbardziej chciało.

— Moja droga, jeżeli będziesz tak wybredną, to z twojemi romansowemi pojęciami możesz zostać starą panną. Panienka w twojem położeniu, gdy nie może mieć tego, czego-by chciała, powinna brać, co się trafia.

— Czy ciocia już tak zwątpiła o mnie, że mi się już nic lepszego nie trafi? — spytała Julia z twarzą pozornie uśmiechniętą, ale w uśmiechu przebijał się bolesny przymus i cierpkość, w jej oczach błysnęła jakby obrażona duma i wyprostowała sztywnie jej gibką postać.

Ciocia musiała spostrzedz to, bo dla złagodzenia ostrych słów rzekła:

— Trafić się może, czemu nie? Ale było-by nieroztropnie z twej strony zdradzać się z tem przed takim Maurycym i odstręczać go od siebie. Można zatrzymać go w rezerwie. Nie namawiam cię do jakiejś stanowczej decyzyi; ale nie powinnaś go ostatecznie pozbawić nadziei. Niech jedzie za nami do Iwonicza, to ci wcale zaszkodzić nie może, że pokażesz się w świecie z gotowym już wielbicielem i aspirantem do ręki. Takie otoczenie nadaje wartość kobiecie.

— A gdy potem upomni się o urzeczywistnienie tych nadziei?

— Od ciebie zależy postępować z nim tak, aby nigdy nie był ich zupełnie pewny i nie miał prawa do żadnych pretensyi. Są sposoby postępowania z mężczyznami, które ujmują a do niczego nie obowiązują.

— Czy i z panem Edmundem radzi mi ciocia tak samo postępować? — spytała Julia filuternie.

— O Edmunda nie potrzebujesz się kłopotać. Przyrzekł on mi już, że przyjedzie za nami niezawodnie.

— Jako rezerwista?

— Mniejsza o to w jakiej roli! — odrzekła ciocia, urażona tem złośliwem zapytaniem. — W każdym razie, towarzystwo tego młodego człowieka może nam być bardzo potrzebne. Jako artysta, ma liczne znajomości w świe-

cie, wstęp wszędzie łatwy. Przez niego będzie można wszystko wiedzieć, wszystko poznać.

— Ciocia masz talent do strategii. Plan kampanii ułożony wybornie. Rezerwa i adjutanci gotowi: z taką aliantką, jak ciocia, mogę być pewną zdobycia pozycyi małżeńskiej.

— Tylko bez żartów, moja droga! Idzie tu o twoję przyszłość. Ja robię co mogę dla ciebie. Reszta od ciebie zależy.

— Ale ja nie myślę całkiem oponować i z góry zgadzam się na wojenny plan cioci. Idę do boju ze ślepem posłuszeństwem, wiedząc, że niema dla mnie odwrotu.

— Co przez to chcesz powiedzieć?

— Wszak wiesz, ciociu, że wuj zakazał mi wracać bez męża, czyli, w innej formie, nie kazał wracać mi wcale.

— Jesteś niewdzięczną!

— To tylko dlatego ,moja ciociu, że nie mam dotąd nic, czem-bym mogła okazać moję wdzięczność dla was za wasze usilne starania pozbycia się mnie z domu... chciałam powiedzieć: wydania mnie za mąż. Skoro mi się to uda, nie będzie ciocia miała powodu narzekać na moję niewdzięczność.

Mówiła to wszystko z uśmiechem, z pozorną wesołością, żartobliwie, a jednak przez ten uśmiech i wesołe słowa widać było kłujące szyderstwo i bolesne rozdrażnienie.

Ciotka, czy nie zrozumiała, czy też nie chciała zrozumieć tego, i słuchała dość spokojnie ostrych przycinków siostrzenicy, owiniętych w lekkie żarciki.

— Wdzięczność zaś moję rozpoczne od tego — mówiła dalej Julia — że przy pierwszej wizycie zacznę, według rady cioci, tego pana Maurycego ostrzeliwać ognistemi spojrzeniami, by sobie zrobić wyłom w jego sercu, na przypadek, gdyby bój w otwartem polu z innymi nie powiódł się. Czy dobrze?

— Na teraz wystarczy, jeżeli będziesz dla niego grzeczną — rzekła pani Solska tonem poważnym, chcąc przez to dać uczuć siostrzenicy, że powinna tę sprawę traktować więcej seryo,

W skutek tej narady wzajemnej, pan Maurycy, gdy w kilka dni potem, przyszedł wraz z Edmundem złożyć paniom uszanowanie swoje, został bardzo uprzejmie przyjęty przez pannę i przez ciocię.

Wierny przyrzeczeniu, jakie dał Edmundowi, zabrał się od razu do bawienia cioci, by mu nastręczyć sposobność swobodnego pomówienia z panną. Było to zadanie nie bardzo łatwe, zawiązać obojętną rozmowę z kobietą, której się dawniej czułe rzeczy do ucha szeptało... Rozmowa co chwila natrafiała na jakieś przeszkody, od których cofać się trzeba było, by nie potrącić o drażliwe kwestye z przeszłości.

Był to taniec wśród szklanek. Maurycy ze zręcznością gimnastyka kręcił się wśród tych drażliwych kwestyi, ale pani Solska, czy to, że nie posiadała podobnej zręczności i rozmowa z dymisyonowanym konkurentem sprawiała jej pewne trudności, czy też, że chciała dyplomatycznie pomódz kuzynce do zabrania blizkiej znajomości z właścicielem znacznej fortuny, wnet tak urządziła sytuacyę, że Edmunda pod pozorem poradzenia się go w jakiejś kwestyi toaletowej, przywołała do siebie i odeszła z nim ku oknu, a Maurycy został z Julia.

Narada pod oknem trwała dość długo. Pani Solska bowiem nie znała ważniejszego zajęcia w życiu nad studyowanie dzienników mód, narady z modniarkami, wybór nowej toalety i przymierzanie modnych kapeluszy. Nietylko było jej to potrzebnem do życia, ale to właściwie było jej życiem, i jestem pewny, że gdyby była zdolną kiedykolwiek modlić się z zastanowieniem, pewnie-by się nie naprzykrzała Panu Bogu o królestwo niebieskie, gdyby pomyślała, że tam nie można prenumerować Dziennika Mód, Bazaru, Switu etc., nie można codzień po mszy odwiedzać magazynów, podziwiać wystaw jubilerskich i sprawiać coraz nowych sukien. W raju nawet znudziłaby się na śmierć. Była-by w kłopocie, co począć! Za to na ziemi, a specyalnie teraz w Krakowie, na nudy użalać się nie mogła. Miała zajęcia dosyć. Trzeba było przecież przygotować się do kąpieli. Miejsca kąpielowe dla takich dam jak pani Solska, są rodzajem igrzysk olimpijskich na które spieszą z wystawą swoich wdzięków i toalet. To też w mieszkaniu pani Solskiej było, jak w magazynie, a prawdopodobniej tak samo, jak u niej w głowie: bezładnie porozrzucane pióra, wstążki, pudełka z kapeluszami, suknie przyniesione świeżo z magazynu, tiule, kwiaty, rachunki ze sklepów, dzienniki mód; co chwila przychodziły ustne depesze od modniarek i krawcowych, zapowiadające, że suknia różowa będzie za godzinę, że niebieską dano już do roboty, a kapelusz będzie na jutro gotowy. Pani Solska tymczasem przymierzała, chwaliła, odrzucała i radziła się innych. Do radzących należał pan Edmund. Okazał on bowiem kilka razy tyle gustu i znawstwa w rzeczach mody, że pani Solska mogła polegać na jego zdaniu i często wzywała go na konferencye w sprawie nowej toalety. Polecała mu wyszukiwanie po sklepach odpowiednich materyi, a nawet doszedł do takiego zaufania, że łaskawa ciocia, przymierzając suknie przyniesione z magazynu, sprezentowała mu się w jednej z nich, balowej celem zasięgnięcia jego opinii co do kroju i mody. Rozumie się, że przy tej sposobności miał także przyjemność podziwienia tego, co już nie było dziełem sztuki krawieckiej, a co inni śmiertelnicy mieli dopiero za parę tygodni oglądać na balach w Iwoniczu. Być może, iż pani Solska była ciekawą wybadać i pod tym względem opinią młodego człowieka, i w tym celu udawała zgorszoną, że zbyt wycięto jej suknią, spodziewając się ze strony jego zaprzeczenia, które-by mogło być zarazem i komplementem; ale Edmund, pomimo, że tak dokładnie znał się na strojach, w tym względzie okazywał zupełną ignoracyą i, zamiast podziwiać rozkosznie rozlane w formach zielonej sukni kształty cioci, wolał ukradkiem spoglądać na jej kuzynkę.

Ten brak ciekawości pani Solska uważała za nieśmiałość i to ośmieliło ją do młodego człowieka, traktowała go po familijnemu i w kilku dniach umiała zrobić z niego faktora, powiernika, garderobianę, doradcę, sekretarza i przyjaciela. Liczne te urzędy tak wiele biednemu chłopcu czasu zabierały, że bardzo mało mógł go obrócić na usługi kuzynki, choć te ostatnie z większą spełniał-by przyjemnością. Ale niepodobna było okazywać wyraźnie cioci chęci swoich i zrażać ją niegrzecznością. Zasługiwał się tedy jak mógł, i cierpliwie z nią studyował dzienniki mód. Dzisiaj robił to tem chętniej, że przez to dał Maurycemu lepszą sposobność poznania panny Julii i ciekawy był jego sądu.

To też ledwo wyszli z hotelu, ożywiony, zadowolony Edmund wziął pod rękę Maurycego i patrząc mu w oczy, spytał:

— No, i cóż?

— Z czemże?

— No z tem, co widziałeś. Miałeś sposobność osobiście poznać te panie, wymiarkować ich stosunek do mnie, a teraz powiedz mi szczerze twoje zdanie.

— Niby w jakim względzie?

— No, czy się łudzę, czy nie. Czy ona mnie kocha.

— Ciocia?

— Ależ, mój drogi ,któż tu mówi o cioci?

— Ja znowu nie pojmuję, jak można mówić o kim innym. Wszakżeż tylko z ciocią szeptaliście cały czas pod oknem.

— Przepraszam, nie mieliśmy powodu szeptać, mówiąc tylko o strojach.

—Przypuśćmy, że tak. I jakże chcesz, abym z tego, coś ty rozmawiał z ciocią o strojach, mógł wymiarkować stosunek twój do panny. Chyba, że to uważasz za najlepszy sposób dostania się do serca panny.

— Nie chciał-bym sobie zrażać starej; robię, co mogę, aby ją ująć sobie.

— I, zdaje mi się, że ująłeś. Gdyby ciocia była panną, to mógł-byś mieć wszelką nadzieję.

— Daj pokój żartom. One do niczego nie prowadzą.

— Tak jak ciebie twoje zabiegi o pozyskanie cioci. Uważam to za czas stracony. Do takich panien, jak Julcia, nie dochodzi się przez furtkę, przez protekcyą.

— Ty ją osądziłeś! — odezwał się ożywionym głosem Edmund, ucieszony tą uwagą Maurycego, którą kładł na równi z pochwałą dla Julii. — Prawda, oryginalny charakter! I cóż sądzisz o niej?

— Muszę ci się przyznać szczerze, że nie umiałbym określić dobrze charakteru tej panny; nie nadaje się ona do mojej klasyfikacyi. Jest to panna wędrowna, to nie ulega wątpliwości, ale czy podróżuje dla cioci, czy ciocia dla niej, tego wymiarkować nie mogłem. Zagadkowa panna mieni się w oczach, jak kameleon. Jest niby roztargnioną, wesołą, żywą, a jednak robi wrażenie kobiety poważnej i energicznej, uśmiecha się i żartuje, ale przez jej słowa i uśmiechy przegląda głębia duchowa.

— Prawda, to niezwykła istota. Musi być niezwykłą, skoro z ust takiego, jak ty, sceptyka, mogła wydobyć pochwalę dla siebie.

— Trochę zawiele mi przypisujesz. Nie myślałem wcale o pochwałach.

— Czyż nie powiedziałeś, że przez jej słowa przegląda głębia duchowa.

— A, więc to nazywasz pochwałą. Mój drogi, głębie są często bardzo niebezpieczne, bo kryją nieraz fatalne tajemnice.

— Jakąż-by tajemnicę mogło kryć serce młodej panienki?

Maurycy uśmiechnął się złośliwie i nic nie odpowiedział.

Edmunda zaniepokoiło to milczenie i spytał:

— Ty nic nie mówisz?

— Bo nic nie wiem.

— Ale się czegoś domyślasz. Proszę cię, powiedz mi.

— Choćbym się nawet czegoś domyślał, nie dowiedział-byś się ode mnie. Bo, na podstawie domysłów samych, oczerniać kobietę jest według mnie zbrodnią. Tu jednak mogę cię zapewnić, że nawet domysł żaden przez głowę mi nie przeszedł. Panna Julia jest dla mnie dotąd całkiem niezrozumiałą. Wydaje mi się, jak książka, pisana w obcym języku, którego nie znam. Być może, że skoro zapoznam się z abecadłem, książka sama nie wiele ciekawego mi powie. W każdym jednak razie radbym odczytać tę książkę, i dlatego korzystać będę z zaproszenia pani Solskiej i z tych kilku dni, przez które te panie zabawią jeszcze w Krakowie.

— Jutro te panie urządzają wycieczkę na Bielany i mam od cioci polecenie zabrać cię, jeżeli nie będziesz miał nic lepszego do roboty.

— Zgoda. Z przyjemnością dam się zabrać.

Wycieczka na Bielany miała za główny cel obejrzenie księdza przeora. Jedna z sąsiadek pani Solskiej, dowiedziawszy się, że będą przejeżdżać przez Kraków i nawet zatrzymają się tam dni kilka dla porobienia niektórych sprawunków, poleciła jej najgoręcej, aby pojechała na Bielany zobaczyć koniecznie księdza przeora, który ma bardzo delikatne, arystokratyczne ręce, piękne oczy, pochodzi podobno z jakiegoś panującego domu, i w skutek nieszczęśliwej miłości wstąpił do klasztoru. Tyle ciekawych rzeczy skłoniło panią Solską do tej wycieczki.

Hotelowa remiza powiozła nasz kwartet pod górę Bielańską, gdzie wysiedli i piechotą poszli ku klasztorowi ścieżką przez las. Ciocia znowu Edmundowi ofiarowała łaskawie wywindowanie na górę stokilkadziesiąt funtów jej nadobnego ciała; Maurycemu dostały się pod rękę powiewne kształty panny Julii, z czego był rad bardzo, bo mimo całej przyjaźni dla Edmunda, nie dowierzał sobie, aby mógł podołać słodkiemu ciężarowi cioci. Rozmowa z nią o wiele łatwiejszą mu się wydawała, niż wyprowadzenie jej na górę. Gdy przeciwnie z Julią, nietylko nie czuł zmęczenia, ale było mu tak jakoś lekko iść, jakby panna Julia była skrzydłem przyprawionem do jego ramion, lub wiatrem, który go popędzał; a wesoła, ożywiona z nią rozmowa działała, jak marsz bojowy, na jego nogi. W skutek tego stało się, że ciocię zostawili daleko za sobą i trzeba było zaczekać na nią. Zatrzymali się w połowie góry. Julia usiadła na mchu pod drzewem i, zwracając zarumienioną zmęczeniem twarzyczkę w stronę Wisły, zawołała z dziecinną radością:

— Ach, jak tu pięknie!

W głosie jej nie było wcale sentymentalnego zachwytu, chorobliwej poetyczności, ale szczery wykrzyk zadowolenia; Maurycy znał się trochę na tem i dla tego wzrok jego z przyjemnością zawisł na Julii i obserwował ją w chwili, gdy błękitne jej oczy błądziły po szerokim widoku, który się przed nimi roztaczał.

— To Tatry? — spytała, wskazując na krańce horyzontu, na których leżało coś białego ,co równie mogło być białym obłokiem, jak górami.

— Tak, to Tatry.

— To podobno ma być śliczna miejscowość?

— Pani nigdy nie była w górach?

— Nie mogłam cioci namówić do tego. Ciocia boi się nudów. Ona woli miejsca kąpielowe, gdzie jest wesołej.

— A pani lubi samotność?

— Zdaje mi się, że lubiła-bym; ale może tylko zdaje mi się. Pożądamy zwykle tego, czego nie mamy.

— Wszak panie mieszkają podobno na wsi.

— Tak, ale dwór w Taborówkach, to hotel, w którym wiecznie goście, zabawy.

— A pani tego nie lubi? — podchwycił Maurycy.

— Czemu nie? Ale zabawy i słodyczy można tylko w miarę używać z przyjemnością, inaczej znudzą.

Maurycemu spodobał się ten szczery sposób tłomaczenia się. Widać było ze słów Julii, że nie starała się okazać w jego oczach ani gorszą, ani lepszą, niż była, i ztąd wyprowadził wniosek, że jeżeli to nie jest osobny rodzaj kokieteryi, to panna Julia ma wielką zaletę, na któréj wędrownym pannom zbywa, to jest, że nie pozuje, ale jest naturalną i szczerą. Chciał jeszcze badać ją w tym kierunku ,jedynie przez przyjaźń dla Edmunda, gdy ten pojawił się z swoim ciężarem. Uprzedził ich przybycie głośny oddech cioci, który robił wrażenie zbliżającej się lokomotywy. Potrzeba było jakiegoś czasu, zanim ciocia mogła przyjść do głosu. Towarzystwo z uszanowaniem czekało na tę chwilę.

— Ach, jakże wysoko mieszka ten wasz ksiądz przeor!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Umiał się wykręcić.

Żyd handlarz: Co? pan gada, że to zły zegarek? On już kilka razy z drugiego piętra zleciał ze schodów, a ciągle chodzi.

Kupujący: A któż go rzucał że schodów?

Żyd: Ny, to mnie zrzucili, ale ja jego miał kieszeni, to on leciał razem ze mną.

Nauczyciel: Pomyślcie sobie, żeby was pięciu dostało odemnie 35 gruszek, 45 wiśni, 25 jabłek i 45 śliwek i mielibyście się tem podzielić. Cóżby każdy z was dostał?

Ignaś (pewny siebie): Bólu brzucha, panie nauczycielu!

Przedsiębiorstwo
miernicze i melioracyjne

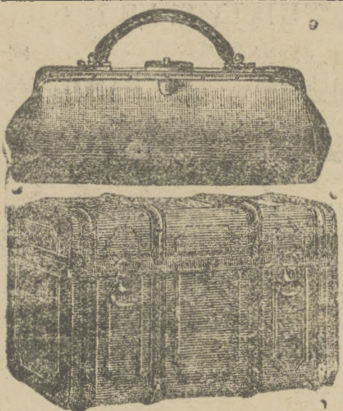
Jankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie, wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.



Kufry ręczne od 2 do 60 M.
Kufry drewniane od 12 do 70 M.
Kufry trzcinowe od 60 do 110 M.
Torebki ręczne od 1 do 15 M.
Torby do podróży od 2 do 36 M.
Torby z neceserem od od 25 do 230 M.
Torby szkolne, ręczna, rob., od 2,50 do 9 M.
Pudła ruskie do kapeluszy od 3 do 10 M.
Necesery od 3 do 50 M.
Portmonetki, portfele, szelki, koniki, bicze, obroże poleca 93

N. Wolniewicz, Poznań,
siodlarz-kieszeniarz w Bazarze.

„Gleba"

Bank rolniczy, Tow. akc.
Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

Węgle,
Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,
Superfosfaty,
Żużle Thomasa, „Sternmarke,"
Kainit,
Wapno do budowli i na nawóz,
Rozmaite pasze,
Wszelkie potrzeby gospodarcze
w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348

! Karty wizytowe !
począwszy od 1,50 mk.
poleca
Drukarnia „Pracy"
Poznań, Rycerska 38.

Wszelkie nuty
na fortepian, skrzypce, organy i orkiestrę poleca
J. Wiśniewski, 90
Księgarnia i skład nut
Gniezno, ul. Tumska 2.

Nasiona!
Rzepę okrągłą lub długą, tatarkę, gorczycę, inkarnatkę, trawy łączne i t. d.
poleca tanio
Skład i hodowla nasion
B. Hozakowski
Toruń — Thorn.
144

Farby,
pokosty, lakiery,
froter, masę woskową
do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne 482
szczotki i pędzle
do tychże.

Carbolineum
koloru orzechów. — Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie**

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek 8.
Telefon nr. 288.
Hurtownie! Detalicznie!

Nowe ozdobne
serwisy do obiadu
nadeszły i dla braku miejsca oddaję do 15-go sierpnia r. b. 17

10% taniej.
Wielki wybór szkła stołowego.
Lampy
naftowe, okowiciane, gazowe i elektryczne.
Sprzęty kuchenne.
Łóżka, umywalki, garnitury do mycia.
ameryk. maszynki do lodów.
Słojki
do konfitur zaprawiania.

W. Janaszek, Poznań,
ul. Wodna 28 narożn. ul. Jezuickiej 1.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bydgoszcz.

W. Sowiński
ul. Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganckiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy.

Kostrzyn.

H. Andruszewski
Hôtel Victoria Tel. 46.
Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład jarb. Ceny niskie, usługa skora

Michał Woźny
poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.
Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Pobiedziska.

M. Koczorowicz
w rynku poleca **obuwie** od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych.
Swój do swego

Śmigiel.

A. Wojciechowski
Rynek nr. 24.
Księgarnia, skład tow. galanteryjnych, piśmiennych, obrazów, **zegarów,** książek do naboż., obrączek ślubn., wózików, dewocyonalii, zabawek itd. Oprawa obrazów, książek, reparacye zegarów po cenach przystępnych.

Srem.

TADEUSZ SZRAJBER.
Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.
Cenniki gratis i franko.

Strzałkowo.

Antoni Matczyński
poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

Jan Bogaczyk
poleca materye na suknie, płótna, wszelkie towary łokciowe, krótkie, ubrania męzkie i dla chłopców, kapelusze oraz wszelkie inne artykuły, prosząc o łaskawe poparcie.

Najtańszy skład
garderoby męzkiej i dla chłopców
J. i S. SKĄPSKI, POZNAŃ

Wrocławska 13/14 (dawn. K. Kużaj). **Telefon 259.**

2-gi skład **Stary Rynek 44.** narożnik ul. Butelskiej naprzeciw Ratusza.

Na sezon wiosenno-latowy

polecamy w olbrzymim wyborze, z najnowszych materyałów w modnych fasonach i po bajecznie nizkich cenach:

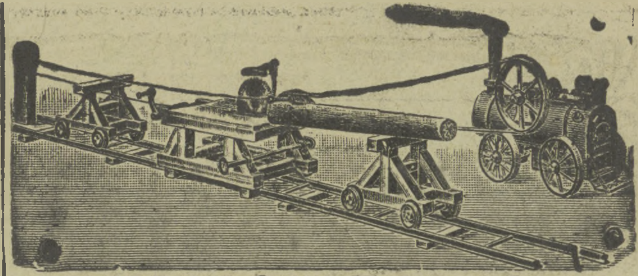
Ubrania żakietowe i surdutowe, paltoty, płaszcze pelerynowe i nieprzemakalne gumowe, haweloki, szlafroki, litewki, modne kamizelki wełniane, jedwabne i pikowe, liberye, spodnie i t. d.

Wielki skład sukna.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu **Duchowieństwu** polecamy

rewerendy znakomitego kroju. 40



Przenośna piła okrągła

nadzwyczaj prostej konstrukcyi, zastępująca korzystnie tartak i ręczne tarcie drzewa. Użyć jej można do przeróbki wszelkiego rodzaju drzewa na potrzeby budowlane, jako to belki, deski, łaty etc. i na opał. Wymaga siły 6—8 koni parowych. Już nawet przy jednej mniejszej budowli wartość piły zupełnie się amortyzuje. Cena bardzo przystępna.

A. Bryliński,

w Poznaniu, przy ulicy Rycerskiej nr. 11a.

Adres do listów: **A. Bryliński**, Poznań-Posen.
Adres do telegramu: **A. Bryliński** Posen.

Telefonu liczba 69. 99

Skład machin rolniczych, krajowych i zagranicznych, zapasowych części do nich i pracownia do napraw.

Do Szanownych Właścicieli domów!

Nowe papowe dachy podwójne, także łupkowe pod ***długoletnią*** gwarancyą, daję za stare *DACHY CYNKOWE*

za które jeszcze dopłacam.

Także polecam się do wykonywania wszelkich ***prac dekarskich, dachówką, łupkiem itd.*** Wszelkie reparacye dachów wykonuję sumiennie i pod gwarancyą. 121

Kosztorysy i rewizye dachów bezpłatnie każdego czasu. Referencye z wykonanych prac na pałacach, kościołach itd. dostarczam każdej chwili.

J. Marciniak, mistrz dekarski.

Biuro Poznań, św. Marcin 14. Telefon Nr. 716.

4 lub 5 pokoji

z łazienką itd. na I-szym piętrze, zaraz lub od 1. 1. 08 do wynajęcia.

Karol Rzepecki, Piekary 7.

W pensyonacie

moim będzie z dniem **I-go Października** kilka miejsc wolnych, dla panienek, kształcących się w zakładach naukowych lub prywatnie. Opieka najtroskliwsza, pomoc w naukach, stół bardzo dobry. 336

Drowa M. Kołodziejowa

Poznań, ul. Zielona No. 7 II.

Tylko jeden raz



proszę spróbować i się przekonać, że moje tanie i ulubione cygaro po 14,- 18,- i 25,- marek za 1000 sztuk, ca 9 cm. długie i pięknie zapakowane, także prawdziwie dobre jest. Ażeby każdego o dobroci i taniej cenie mych wyrobów przekonać, przesyłam **300 cygar Farmer** w trzech gatunkach, także 50 innych różnych dobrych wyrobów pospołu za **tylko 7,50 marek** przez zaliczkę. Proszę z tej okazyi korzystać i zaraz zamówić. 264

P. POKORA, fabryka cygar, **Wejherowo** (Neustadt W.-Pr.) No. 240A.



Papierosy z fabryki

SULIMA

są najlepsze.

Produkcya roczna przeszło 200 milionów.

Jedyna jeneralna agentura i główny skład

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Klinika prywatna
Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne,
dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych 159

Poznan Plac Piotra 4
(Petriplatz.)
TELEFON 893.

LISZAJE

wrzody, skrofuły, odzięblizne, hemoroidy, wyrzuty skórne,

stare rany itd.

usuwa szybko i radykalnie prawie w każdym przypadku maść gojąca

„aptekarza Ciechańskiego"

od wielu lat wypróbowana i przez wielu lekarzy bardzo polecona.

Bardzo wiele chwalebnych uznań nadeszło. Puszka po 1 mr., za 2,50 mr. trzy razy tyle. Części składowe: Syringaextr. 2%, Wollfett 98%.

Jedyny skład wysyłkowy ma: Aptekarz **H. Szmyczyński, Berlin 81.** Goerlizerstr. 48, 338 Goerlitzer Apotheke.

Tani skład

z mieszkaniem i warsztatem poleca jako dogodny dla

krawca, tapicera,
szewca, stolarza,
fryzyera, malarza

lub innego przemysłowca, do wynajęcia zaraz lub od 1. 1. także 1. 4. 08.

Karol Rzepecki, Piekary 7.

Poszukuje się

wspólnika

(najchętniej kupca) z kapitałem co najmniej 20 tysięcy marek do nowo założyć się mającej fabryki świeżo patentowanych wyrobów cementowych (sztucznych marmurów i t. p.) na Ks. Poznańskie i Ślązk.

Powyższy patent można też nabyć w całości.

Zgłoszenia uprasza się pod No. **339. H. M.** do eksp. „Pracy." 339

W kuźni.

Majster do czeladnika.

— Nie wal tak do licha w kowadło... To przecież nie fortepian

A. PFITZNER

hurtowny handel win

Mád pod Tokajem — Poznań. 65

Własne winnice. Zał. w r. 1849. **Najstarsza cukiernia.**

poleca wprost od producentów zakupione **tylko czyste**

Wina górno-węgierskie

(Hegyalskie.)

od lekkich stołowych, litr 1,50—2,00
do ciężkich gatunków, „ 4,00—8,00

Wina czerwone z Bordeaux.

Konjaki krajowe w beczkach.

NB. Bliż. szczeg. w cennikach bezpłat.

Największy interes obstalunkowy poleca na **sezon latowy**

Herbaty (Souchong) od 1,00—5,00 funt.
Czekoladę Sucharda od 1,20—3,00 funt.
Czekoladę do gotowania . . 1,20 funt.
Ciasta deserowe na półmiskach.
z karmelową fontanną.

Torty w 12 rodz. z gust. dekoracyą.

NB. Zamówienia po za dom wyk. odwrotnie.

„Praca“

kosztuje kwartalnie tylko 1,50 mk.

Na półrocze zimowe przyjąć mogę jeszcze kilka **panienek** do mego

pensyonatu

dla młodzieży żeńskiej, tj. bądź uczennic szkolnych, bądź panienek pragnących się dokształcić ogólnie lub w jakim kierunku praktycznym. Warunki przystępne. Bliższe szczegóły na żądanie.

Helena Rzepecka,

egz. nauczycielka wyższych szkół żeńskich

Poznań, św. Marcin 9 II.

Nie kupujcie żadnego zegarka 141

od firm i **z ich katalogów, którzy żadnego pojęcia o zegarku nie mają;** a najważniejsze, że **o raz drożej odemnie sprzedają.**

Jedyną największą znaną i tanią firmą jest

M. Danecki

zawodowy zegarmistrz w Poznaniu.

Proszę napisz Pan, po mój wielki w kilka tysięcy illustracyi bogaty cennik, a przekona się Pan o prawdziwości słów moich.

Za każdy zegarek daję na 5 lat piśmienną gwarancyą.

Są dokładnie obciągane i na minutę uregulowane.

Nr. 40. Czysto srebrny cyl. klucz., złocone wskazówki i złote brzegi, prima werk na 10 kamieni, najlepsze w ciężkiej srebrnej kopercie, masyw, znane z dobrego chodzenia M. 11,75. Ten sam na 6 kamieniach M. 9,85.



Nr. 57. Czysto srebrny cyl. rem. złote brzegi i złoc. wskazówki, werk prima na 6 kam. najlepszy w ciężkiej sreb. kopercie i znane ze swego chodu M. 9,75. Ten sam na 10 kamieni M. 11,75.

Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą

Ia. pierwszy gatunek.

Niklowe męzkie kluczykowe .	mk. 5,40
Posrebrzane z 2 złoc. brzeg.	„ 5,90
Niklowe klucz. 6 kamieni Ia.	„ 6,00
Nowosrebrne kluczyk, 2 złoc. brzeg. 6 kam. prima werk .	„ 7,75
Czysto srebrne 2 złoc. brzeg. kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kam. znane z dobrego chodzenia	„ 9,85
Te same o 10 kamieniach . .	„ 11,75
Czysto srebrne kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni. złoc. wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia	
z wizerunkiem Matki Boskiej	„ 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską	„ 14,00
a najlepsze z Matką Boską .	„ 16,00
Czysto srebrne damskie 6 kamieni . .	„ 8,50
dto. 10 kam. prima . .	„ 12,00
Czysto złote 8 karat damskie 10 kamieni prima	„ 16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . .	„ 18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia.	„ 22,00

kapsułka lub **etui** darmo.

Adres: M. DANECKI, Poznań-Posen, **Bismarkstr. 2.**

Cenniki wysełam gratis i franko.

Całusek — Oko — Warszawianka

polecają

jako specyalności bez alkoholu

J. & J. GORECKI

Leszno, W. Ks. Poznańskie, 225

Leszczyńska destylacya hurtowna pod nazwą „Miasto Warszawa“.

Nowe kursa handlowe

rozpoczynają się w mojej szkole handlowej dnia **3-go października. Gruntowna, praktyczna** nauka przez doświadczone i rutynowane siły nauczycielskie.

Osobny kurs uzupełniający w stenografii i pisaniu maszyną dla stenotypistów do perfekcyi w pisaniu 100 zgłosek w minucie; pisanie w debatach do 150 zgłosek.

Prospekty na żądanie.

Praktyczne podręczniki o książkowości i wekslach w języku polskim i niemieckim własnego nakładu.

Wysełka za zaliczką.

Rewizye i regulacye ksiąg handlowych i gospodarczych.

TEOFIL PREISS.

Dyrektor.

Ul. św. Marcina 64, II. p.

Zakład założony 1893 r. Telefon 1983.

Zgłoszenia i prospekty także **ul. Nowa 7** w składzie. 302

Bez konkurencyi!

Leon Górecki

I. skład: **Ostrów, ul. Kaliska.**

II. skład: **Ostrzeszów, ul. Kolejowa.**

Pierwszorzędny skład gotowych ubrań

oraz

wszelkich artykułów męskich.

Pracownia ubiorów na miarę. 226

Przykrawacz i warsztat w domu.

Bez konkurencyi!

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. (20

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski, z Poznania.